Nr. 6. Poznań, Niedziela 4-go Lutego 1900. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu już z odnoszeniem tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na poczatach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Obłęd prześladowczy.

Na ostatniem zebraniu członków zarządu hakatystycznego, na którem znajdować się mieli wszyscy wybitniejsi działacze polityki antipolskiej w Prusiech, powzięto następujące uchwały:

1. Podać petycyę do rządu przeciwko stałemu osiedlaniu robotników polskich z Królestwa i Galicyi.

2. Żądać rozszerzenia prawa o języku urzędowym z r. 1876, a mianowicie, żeby język niemiecki był wyłącznie używany na wszystkich zebraniach, w całym ruchu publicznym (w składach, w napisach, na godłach, tramwajach, w statutach i protokułach banków, towarzystw i podobnych instytucyi).

3. Żądać osobnego prawa dla polskich stowarzyszeń.

4. Żądać zniesienia nauki języka polskiego w wyższych zakładach naukowych.

5. Żądać zniesienia fakultatywnej nauki języka polskiego w szkołach ludowych.

6. Żądać nauki religii w języku niemieckim nawet na najniższym stopniu w szkołach ludowych.

7. Żądać wykluczenia Polaków z urzędowania w okolicach językowo mieszanych.

8. Żądać zmiany prawa prasowego w tym sensie: polskie gazety i czasopisma powinny obok polskiego drukować tekst niemiecki.

Oto ośm tylko żądań, które wzięte razem równają się wyjęciu obywateli pruskich polskiego pochodzenia z pod praw konstytucyi, z pod praw przyrodzonych, z pod praw ogólno ludzkich i wciśnięciu ich w żelazną obręcz prześladowań i ucisku.

Tego żąda hakata!

Bez względu czy żądania te zostaną ziszczone lub nie, już sam fakt, że one mogły być publicznie ogłoszone świadczy, jak groźne już przybrał objawy obłęd prześladowczy Niemców, przeciwko wszystkiemu co polskie, przeciwko wszystkiemu co słowiańskie, to samo bowiem opętanie umysłów ogarnęło i Niemców w Austryi, odnośnie do Czechów i innych narodowości słowiańskich.

Powiedzieliśmy, że objaw to groźny, nie znaczy to wszakże, żeby on był groźny dla Polaków, bynajmniej, groźnym on jest dla samych Niemców, którzy uznali siebie za zdolnych do tego jedynie rodzaju barbarzyńskiej polityki wynaradawiania i zrzekli się tem samem wszelkich innych cywilizacyjnych wpływów, któreby mogły na drodze wzajemnej zgody, wzajemnego poszanowania praw boskich i ludzkich zjednać dla celów państwowych inoplemieńców w państwie żyjących, których całą winą jest, że mówią innym językiem i że tę mowę ojczystą uważają za jedyny skarb, za jedyną niemal spuściznę historyczną.

Oto zbrodnia przeciwko której uzbrajają się groźne zastępy hakaty, opętanej obłędem prześladowczym.

Nie jest że to zarazem świadectwem zaniku wszelkich uczuć humanitarnych i dążności cywilizacyjnych w narodzie, który pragnie imponować swą cywilizacyą. Nie jest że to jednocześnie dowodem strachu bezmyślnej siły fizycznej, przed przeczuwaną siłą dziejowych przeznaczeń, przed siłą żywiołową?...

Nie jest że krzyczącą manifestacyą bez rozumu politycznego, wytwarzanie, tym sposobem, w obrębie państwa obywateli niezadowolonych, tłumiących w sobie krzywdy doznane, wrogo usposobionych, podejrzliwych i niechętnych dla celów polityki rządowej i wzrostu potęgi państwa? Powiadają, że w polityce dla sentymentów miejsca niema! Zapewne, lecz powinno w niej być miejsce dla rozumu. A czyż rozumowi nie przeczą usiłowania zwrócenia koryta rzeki? Czyż nie poucza on nas, że szaleństwem jest gwałcenie praw natury, lub naginanie ich do wymagań chwili? Wprawdzie takie naginanie jest niekiedy możliwe, lecz dokonywa się ono nie za pomocą siły pięści, lecz za pomocą nauki.

Nie siłą miecza i przemocy, lecz siłą ducha! Tymczasem cóż się dzieje w Niemczech? Istnieje niby konstytucya, istnieje niby prawo; lecz prawo nakazujące posłuszeństwo, a niezabezpieczające od prześladowań hakaty — przedstawia się tylko jako organ siły zewnętrznej. — Takie prawo powagi mieć nie może. Zresztą ostatniemi czasy ujawniła się w Niemczech dążność do zwalczania prawa za pomocą praw wyjątkowych. Wykonawcami praw takich mogą być i ludzie wyjątkowi, których celem nie jest dążenie do sprawiedliwości, lecz do karyery. Przyjąwszy na siebie rolę wykonawców takich praw, zrodzonych w wybuchach szowinistycznych namiętności, namiętnością tym schlebiać muszą, chociażby ze szkodą cywilizacyi, ze szkodą narodu, ze szkodą państwa. W tych zaś warunkach zasadnicza idea prawa i porządku państwowego zmienia się w szereg praw wyjątkowych, w okres których weszły dziś Niemcy.

Dokąd ta droga ich zaprowadzi? Czy przyniesie tryumf, czy upadek? — niedaleka, zdaje się, przyszłość pokaże. To pewna wszakże, że jeżeli i odniosą pierwszy — to będzie on krótkotrwały. Tryumf bowiem niesprawiedliwości i przemocy trwałym być niemoże... *S. K.*



Tajna organizacya.

W ostatnich czasach rozesłano z niewiadomego źródła do pism i do osób prywatnych odezwy od jakiejś „ligi narodowej“, od niby organizacyi tajnej, która chce ująć w swe dłonie ster walki w obronie praw narodowych. Odezwa „ligi“, której bezimienny i niepodpisany komitet zaznacza, że i w Księstwie liczy wielu zwolenników, opiera się na założeniu, że od roku 1863 w Królestwie Polskiem usnęła wszelka polityczna świadoma działalność i sprawa polska powoli tam zamiera. Jako przyczynę tego niepocieszającego faktu uważa „liga patryotyczna“ paktowanie z rządem, popierane przez klasę mieszczańską i arystokratyczną. Aby temu zapobiedz, przed 13 laty założona została organizacya tajna, która ma się zająć przygotowaniem środków do osiągnięcia ostatecznego celu: niepodległości Polski, a to zapomocą oddziaływania na lud. W r. 1896 wystąpiła ta zorganizowana partya narodowo-demokratyczna z jasno sformułowanym programem a obecnie — zaznacza odezwa dalej — komitet postanowił zrzucić maskę tajności i rozszerzyć agitacyę na obojętną dotychczas sprawie „Ligi“ publiczność. Odezwa kończy się zachętą do składek na skarb narodowy.

Naszkicowaliśmy w paru słowach treść odezwy, aby wykazać już z góry, jak dalece tendencya jej odbiega od istotnych potrzeb naszego społeczeństwa, zarówno w Królestwie jak i w Poznańskiem, Pomijamy już zupełnie, że „Liga“ najmniej stosowną sytuacyę polityczną obrała sobie do rozpoczęcia agitacyi, jakkolwiek i ta okoliczność już świadczy, że autorowie odezwy nie liczą się z sytuacyą chwili, co nie wydaje im świadectwa dobrych polityków; ale pominąwszy to nawet, zwróćmy się ku zasadniczemu twierdzeniu odezwy, że od 1863 r. usnął w ziemiach polskich a specyalnie w Królestwie wszelki ruch narodowo-polityczny. Twierdzenie to jest wręcz błędnem. Nie pora i nie miejsce tu, aby składać dowody, że polityczny ruch w Królestwie, a tem mniej w Księstwie, nie zastygł; na ruch ten składa się zresztą wiele objawów, z których nie wszystkie nadają się do dyskusyi publicznej; — ale, pytamy, czy można mówić o zastyganiu poczucia narodowego u kilku milionowego społeczeństwa, które potrafi, tak jak społeczeństwo w Królestwie, ulegać jakby zelektryzowaniu na wieść o dymisyi Hurki lub Apuchtina, które — tak jak ono — potrafi uczcić pamięć najbardziej narodowego z poetów literatury wszechświatowej — Adama Mickiewicza. Widocznie autorowie odezwy, pisząc o zastygnięciu ruchu narodowego, mieli na myśli li tylko zbrojne powstanie. Pod tym względem poglądy społeczeństwa polskiego na szczęście już dawno przerosły zapatrywania autorów odezwy; pracę narodową pojmujemy dziś zupełnie inaczej; wyrzekając się myśli o zbrojnem powstaniu, widzimy przed sobą ogromne, niezorane ani niezasiane pole pracy, pracy o ile możności w granicach legalnych, — pole pracy nad oświatą ludu, nad wpojeniem mu poczucia spójności ze wszystkiemi klasami społecznemi.

Lecz być może, że odezwa ligi, o ile ją można uważać za autentyczną, a nie za falsyfikat, umyślnie obniża wartość istniejącego ruchu narodowego, aby tem silniejszy apel skierować do pracy nad odrodzeniem. Słuchajmy więc brzmienia tego apelu! Zaczyna on się — od oskarżeń przeciw „warstwom mieszczańskim i arystokracyi“ — a więc od dyssonansu! Dziwny to zaiste apel, i wątpimy, czy zdolen jest on sprowadzić pod jeden sztandar cały naród, czy nie przyczyni się on raczej do wytworzenia większego jeszcze fermentu nienawiści klasowej. A jakiż to wódz przed zatrąbieniem do ataku każe zamieszki wzbudzać we własnych swych szeregach?

Rozumiemy owszem, że wśród społeczeństwa, które pod hasłem powolnej, mrówczej pracy chce bez tajnych konspiracyi dążyć do zapewnienia sobie bytu narodowego, niezbędnem jest ścieranie się stronnictw, ich walka o utrzymanie się przy sterze opinii publicznej — ale to jest dobre i nawet konieczne w społeczeństwie, które nie ma zamiaru lub nie jest zmuszone występować na zewnątrz jako jednolita całość; — które ma przed sobą lata spokojnego, powolnego rozwoju. Takie społeczeństwo ma czas na to, aby przeciwieństwa złagodniały, aby się „wyklarowała“ opinia publiczna w ciągłej walce zdań i stronnictw. Ale w chwili, gdy trzeba bronić dobra ogólnego i wspólnego, gdy trzeba stać się jednolitem ciałem, jedną ożywionem myślą i jednem spojonem czuciem, — a przecież według odezwy „ligi“ chwila obecna jest taką — wtedy niema czasu na załatwianie rachunków pomiędzy stronnictwami, wtedy niema czasu na robienie wyrzutów pod adresem mieszczaństwa lub arystokracyi, bo wtedy jedno tylko hasło rozbrzmiewać powinno: wszyscy mają równe prawo i równy obowiązek bronienia ojczyzny!

Taką jest zasadnicza różnica zapatrywań naszych, a zapatrywań wyrażonych w problematycznej odezwie, a z niej mianowicie z naszego poglądu na pracę i oświatę nad ludem, jako *jedyny* nasz oręż w walce o byt, wynika różnica w zapatrywaniu na organizacyę tej pracy. Odezwa mówi o tajnej jakiejś organizacyi i jej samo pojawienie się ma wzbudzać pozory istnienia tejże. Nam, do naszych celów, które uważamy za zdolne wypełnić całe dziesiątki lat powolną pracą, niepotrzeba organizacyi tajnej; nam wystarczy jawna. Obyśmy tylko w zupełności korzystali z tej możności pracy jawnej, jaką, pomimo obcięcia praw naszych, zarówno tu jak i tam mamy! *R.*

Sprawy polskie w sejmie pruskim.

Pierwszy występ nowych ministrów.

Dwaj nowi ministrowie pruscy: wyznań i oświaty Studt, oraz spraw wewnętrznych Rheinbaben, za temat pierwszego wystąpienia swego oratorskiego przed parlamentem obrali „sympatyczny“ dla większości słuchaczów temat bezwzględnej walki germanizmu z narodowością polską. Sam wybór tematu zapewniał połowę sukcesu.

Ministrom dał sposobność do wystąpienia poseł ks. dr. Jażdżewski, wyrażając nadzieję, że nowy kierownik władz administracyjnych ukróci władz tych nadużycia, tyle słusznych skarg wywołujące. *Pia desideria* swoje uzasadnił sz. poseł przykładami, wymieniając okolice, gdzie na sto dzieci jest ich polskiej narodowości dziewięćdziesiąt dziewięć, pozbawionych nauki religii w języku polskim, oraz okolice, gdzie we wszystkich prawie szkołach nauka religii katolickiej udzielaną jest w języku niemieckim. Nie omieszkał też poseł dotknąć sprawy funduszu dla „wzmocnienia niemczyzny“ na

kresach, oraz odezwania się deputowanego Sattlera, domagającego się, aby rząd „ostrzej jeszcze“ traktował Polaków.

Minister Studt odpowiedział długim wywodem:

„Nowe rozporządzenia rządu — mówił — wywołane zostały pojawieniem się narodowo-polskiej agitacyi, oraz polemikami prasy polskiej z rządem. Rozporządzenia te są usprawiedliwione zachowaniem się społeczeństwa polskiego i organów prasy. Przeto też oświadczam, że za wszystkie rozporządzenia mego wydziału (oświaty i wyznań) jestem osobiście odpowiedzialny, nie zaś administracya. Nowy system nauki w szkołach wyda, mam nadzieję, rezultaty pożądane dla dobra ludności, szerząc wśród niej niezbędną znajomość języka niemieckiego. Dobre atoli w tym kierunku zamiary rządu rozbijają się o wpływy, których wymienić tu nie chcę. Wspomnę tylko o najpotężniejszym z nich: o wpływie rodziców na dzieci. Niechęć swoją do języka niemieckiego przelewają oni na najbliższe swoje otoczenie. Podobnie i lud włościański jest nieustannie zrażany do wszystkiego, co niemieckie. A jednak — pomyślny stan polskiego ludu włościańskiego, oraz zamożność innych warstw ludności polskiej przypisać należy troskliwości rządu pruskiego.“

Minister spraw wewnętrznych dotrzymał kroku koledze, a dla większego efektu uderzył w ton inny, aczkolwiek na tę samą nutę. Minister oświaty usiłował argumentować, minister spraw wewnętrznych uważał za stósowne użyć patetycznych frazesów:

„Przed chwilą — rzekł między innemi — mówił tu dep. Richter, że nie potrzeba wzmacniać funduszu, gdyż polityka p. Köllera w północnym Szlezwiku zrobiła fiasko. Gdybyśmy nie byli proponowali wzmocnienia funduszu, wtenczas p. Richter byłby niezawodnie wnosił, że nie potrzebujemy tego funduszu. Uczyniono nam zarzut, iż uznajemy, że polityka wobec Polaków nie doprowadziła do celu. Stwierdzam, że jest przeciwnie, a konsekwentna, energiczna polityka pana Köllera jest całkiem odpowiednią i pragnę stanowczo pozostać na torach tej polityki.“

Dosyć wyraźnie, prawda? Mniej wyraźnem, aczkolwiek również efektownem było twierdzenie, że Polacy psują dobre stosunki w dzielnicach swoich, stosunki, które usilnie stara się ugruntować rząd pruski, uspokajając i uszczęśliwiając obie narodowości z godną podniesienia bezstronnością i sprawiedliwością. Polacy sami winni, że stosunki są nienormalne. Rząd pruski spełnia sumiennie swój obowiązek: niech też swój obowiązek spełniają Polacy. Jednym zaś z kardynalnych obowiązków rządu pruskiego jest stać na straży niemczyzny.

„Tak — wołał p. minister, kończąc mowę swoją — tak! musimy stać na straży, aby utrzymać niemczyznę i wzmocnić ją, i nie będziemy czekali, aż pewni ludzie wyjdą z katakumb, i nie będziemy przyglądali się czynnie lub biernie, jak „tron Cezarów w puch się rozsypie!“

Posypały się huczne brawa, a w sali dał się odczuć pewien niepokój. Daleko zdawały się sięgać p. ministra — myśli, jeżeli końcowego fzazesu nie uważać za proste machnięte t. zw. strachem na Lachy...

Nie dał atoli wrażeniu temu trwać zbyt długo poseł Józef Głębocki. Krótko, ale dobitnie, a przedewszystkiem sprawiedliwie odpowiedział ministrom. Punkt po punkcie zbiwszy ich twierdzenia, nie zawahał się jasno oświadczyć, że chłop polski zawdzięcza lepsze swe ekonomiczne położenie własnej pilności i własnej inteligencyi. Rząd pruski, ustawodawstwo i administracya utrudnia ludności włościańskiej rozwój ekonomiczny, n. p. osiedlaniu się tej ludności stawia wszelkie zapory. Dobrodziejstwa rządu pruskiego są — fikcyą.

„Mowy obu ministrów — mówił poseł — nie rozczarowały mnie, ani zdumiły. Polityka antypolska rządu pruskiego jest jego systemem. Zmiana ministrów nic w nim nie zmieni. Nowi ministrowie są tylko nowym numerem, nić pozostaje ta sama. Naród polski będzie ich mowy uważał za hasło: „Walka ma być i będzie dalej prowadzoną.“

Prasa polska solidaryzuje się bez zastrzeżeń z wywodami dep. Głębockiego. „Dziennik Pozn.“ pisze wręcz:

„Na ostatnią uwagę ministra Studta o dobrobycie chłopa polskiego tu u nas, co ma być rzekomo owocem pieczołowitości rządu, odpowiedzieć musimy, że znaczny rozwój włościaństwa i mieszczaństwa polskiego zawdzięczamy nie jakimś tam absolutnie nie istniejącym dobrodziejstwom rządu, tylko własnej intensywnej pracy, zainicyowanej przez mężów światłych i patryotycznych, którzy postawili program organicznej pracy, a program ten stał się własnością całego ogółu. To, czem dziś jesteśmy, osiągnęliśmy nie dzięki poparciu rządu, tylko mimo i przeciw jego woli, która rozwojowi naszemu wszelkie możliwe zawsze stawiała trudności. Ponieważ p. Studt, zdaje się, bardzo pilnie czyta pisma polskie, więc zwracamy jego uwagę, aby w tym kierunku starał się pogłębić swoją znajomość odnośnych stosunków dzielnic polskich, bo utartemi frazesami, opartemi na zupełnej nieznajomości tych stosunków, nie może nam imponować nawet pruski minister oświaty.“

J.



Wiek dziewiętnasty.

II.

Czy Napoleon zasługuje na miano bohatyra wolności i jaka jest jego zasługa dziejowa? na to pytanie winniśmy nasamprzód dać odpowiedź.

Różni bywają bohatyrowie, różne czyny bohatyrskie i różne zasługi, ale najprzedniejsza sława tym się należy, którzy zdobyli dla oświaty nowe obszary, wielkim ideom cywilizacyjnym otwarli wrota, ułatwili im dostęp w kraje i do ludzi, gdzie były przedtem nieznane. Te wielkie zasługi, największe, jakie mąż historyczną odgrywający rolę mieć może, zdobyli sobie Aleksander Wielki i Cezar, z którymi Napoleona często porównują. Zazwyczaj porównują ich głównie dla ich wojowniczego ducha, dla zwycięztw i podbojów, któremi znaczyli drogę swoją i w pamięci ludzkiej zapisali się po wszystkie wieki; z Cezarem możnaby Napoleona i dlatego porównać, że podobnie jak ten bohatyr rzymski stał się ofiarą wstecznictwa, reakcyi, z tą tylko różnicą, że Cezar padł pod sztyletem przeciwników politycznych, a Napoleon jako skazaniec życia na samotnej wyspie dokonał.

Lecz nie w zwycięztwach samych i krwi przelewie leży prawo i słuszność tego porównania, tak jak znaczenie Aleksandra i Cezara nie leży w samych tylko krwawych podbojach. Po za tymi podbojami i wojnami kryje się dopiero wielka, największa zasługa tych bohatyrów starożytności, zapewniająca im wdzięczną pamięć ludzkości na zawsze. Aleksander Wielki zwycięzką wyprawą swoją na Wschód otwarł podwoje wspaniałej kulturze greckiej, helleńskiej do nieznanych jej przedtem krajów i ludów, zdobył dla tej kultury nowe siły, nowe pole i przygotował czasy tak zwane Hellenismu, które tę bogatą spuściznę ducha ludzkiego, jaka się kryła w greckiej kulturze, przejęły i przechowały dla późniejszych pokoleń. Aleksandrowi zawdzięcza więc ludzkość, że zaniósł kulturę

grecką na Wschód, ale przedewszystkiem też, że przyczynił się do przechowania jej aż do naszych czasów i po wszystkie wieki. W tem a nie w zwycięztwach krwawych jedynie leży Aleksandra Wielkiego tytuł i prawo do nieśmiertelności i tą zasługą okupił on krwi rozlewy.

Podobnie Cezar; ten z mieczem w ręku zdobył dla państwa rzymskiego Gallią i Brytanią, dzisiejszą Francyą i Anglią, potworzył z nich prowincye rzymskie i zaprowadzał w nich cywilizacyą i kulturę rzymską. A kiedy w lat sto, powiedzmy, po jego zgonie w Rzymie wiara Chrystusowa wzrastać i krzewić się poczęła i powoli coraz więcej zjednywać sobie wyznawców, przeszła z czasem też Alpy i doszła, za sprawą późniejszych cesarzów rzymskich, do tych prowincyi, które przedtem Cezar tam na północy był potworzył. Cezarowi więc zawdzięcza ludzkość rozszerzenie się cywilizacyi rzymskiej, a później wiary krzyża na północy w Anglii, Gallii i Germanii i w tem leży Cezara potężna i niespożyta zasługa.

Cóż wobec tych dwóch mężów miecza, sławy i *zasługi* znaczy Napoleon, czy zdobył nowe, nieucywilizowane kraje, zaprowadził w nich kulturę i cywilizacyę o wiele wyższą, jak była ich własna? nie i jeszcze raz nie. Europę zapełnił dźwiękiem oręża, zalał krwią i własną swą chwałą, a kulturę krajów przez siebie podbitych zniszczył poniekąd i osłabił; z narodów i krajów dorobił sobie stopnie do tronu i sławy, na którym duma i ambicya osadzić go miały.

Tak by się *na oko* zdawać mogło i tak też ocenił Napoleona niemiecki historyk Treitschke, który w nim nic więcej nie widział jak lwa żarłocznego, pochłaniającego łup za łupem; tak bardzo mogły namiętnego Niemca oślepić nienaniść i gniew, „ira et studium“.

A przecież prócz tych wojen i zwycięztw, które Napoleona wsławiły jako wielkiego wojownika i pokazały światu co może zrobić silna wola, ma przecież Napoleon — czy z własną wolą, czy bez niej — inne jeszcze znaczenie dziejowe i zasługę, która choć w części zbliża go istotnie do Aleksandra Wielkiego i Cezara. On z Francyi zaniósł na Wschód do Niemiec i Austryi i Rosyi hasła rewolucyi, hasła wolności i niezależności ludu i w oczach Europy odarł z blasku i purpury „królestwo z bożej łaski“ dyktując Habsburgom i Hohenzollernom — on parweniusz wśród królów i cesarzy — swoją wolę i do niej ich naginając. On wpoił w szerokie tłumy to przekonanie, że nie lud dla królów, a króle dla ludu są i być powinni i że to królestwo „z bożej łaski“, jak je nazywano, przez lud i od ludu bierze swoją sankcyę. Tę to ideę inaczej mówiąc *ideę niezależności ludu* opanowującą cały wiek dziewiętnasty, zaszczepił Napoleon w serca i umysły ludzkie — chociaż sam nie zawsze do tej zasady się stosował. W ten sposób utorował drogę ideom rewolucyjnym Francyi na Wschód, przysposobił ludy do walk rewolucyjnych, do walk o wolność społeczeństw i jednostek — i w tem jego wielka dziejowa zasługa, stawiająca go, choć w części, słusznie obok mężów tej zasługi, co Aleksander Wielki i Cezar.

Z tego, cośmy powiedzieli o historycznem znaczeniu i zasłudze Napoleona, wynika też odpowiedź na pytanie: *czy Napoleon zasługuje na miano bohatyra wolności?* Ten, który sztandary rewolucyjne Francyi w bój wywiódł przeciw absolutnym rządom — dla jakichkolwiek przyczyn — słusznie przez pokolenie swoje został za bohatyra wolności uznany.

W dalszym ciągu zadaniem naszem będzie wykazać koleje tej walki ludów o wolność polityczną i społeczną, wykazać idee i materyalne potrzeby, dla których rewolucye 1830 i 1849 r. staczane były. *Poznańczyk.*



U schyłku wieku.

Wśród huku armatnich wystrzałów, wśród salw broni ręcznej rozpoczął się wiek dziewiętnasty, który kończy się obecnie konferencyą pokojową. Jakiejś olbrzymiej zmiany pojęć trzeba było, aby świat uwierzył, że nie szablą, lecz przy zielonym stole dyplomatów rozwiązać można marzenia ludów o wolności i pokoju! Rzućmy okiem wstecz.*)

Po bożku wojny, Napoleonie, przyszła epoka kongresów. Kongresujący monarchowie, co po upadku olbrzyma podzieliły się jego płaszczem, pokrajali Europę fantastycznie, nie bacząc na prawa i przyszłość ludów, a dogadzając jedynie dyplomatycznym lub strategicznym względom. Powstały w Europie państwa sztuczne, w uprawnienie których do bytu nie mogły uwierzyć ludy, których nikt tak kochać nie mógł, jak się kocha ojczyznę przodków. Przytem wrócono do rządów absolutyzmu. Zaufaniem rządów cieszyć się tylko mógł fagas lub samolub. Myśleć o sprawach publicznych zabroniono jak o zbrodni, wszystkich najdzielniejszych złamano więzieniem, wygnaniem, szubienicą.

Takie rządy jedynie tylko nieoświecone tłumy wiejskie znosić mogły biernie; klasy oświecone wszędzie szemrały, spiskowały, powstawały. Przez całe dziesiątki lat toczyła się wojna z politycznym absolutyzmem, dopóki nie zwyciężyła zasada kostytucyonalizmu i demokracyi. Szereg wielkich wojen skończył się równocześnie z upadkiem Napoleona III i powstaniem wielkich państw narodowych w Niemczech i we Włoszech, a konstytucyjne zasady zapanowały wszędzie, poza granicami samej tylko ogromnej Rosyi, która na północy pozostała po dawnemu monarchią absolutną i policyjną.

Po zwycięstwie parlamentaryzmu i zasady narodowości nie stało już ideału narodom Zachodu i może się wydać, że nie mają już od lat trzydziestu historyi; prowadzą wojny chyba gdzieś za morzami, podbijają ludy Azyi i Afryki dla nieludzkiego zysku, zasłaniając się nieraz bezprawnie kłamanem hasłem o szerzeniu cywilizacyi. A przecie — pomimo, że dążenia do konstytucyonalizmu zostały urzeczywistnione — nędza i troski jak były tak są, a występek lub bezprawie cokolwiek inną przybrały postać. Po parlamentach nie zasiadają najlepsi z narodu, ale ci, co zabiegliwością swą zdobyli mandaty i w marnej kłótni zaprzepaszczają dobro publiczne; rządy zawdzięczają istnienie swe prostemu przekupstwu lub intrydze; wolna prasa służy interesom spekulantów, lub żyje tem, że schlebia podlejszym namiętnościom tłumów; rządy już nie łamią szlachetnych jednostek okrutną przemocą, ale władają tłumami, rozsiewając drukowane kłamstwa między łatwowiernych; a rozszerzywszy na wszystko administracyjną opiekę i system podatkowy wprzęgły wszystkich w swój militarny lub biurokratyczny rydwan, wszystkich pozbawiając obywatelskiej niezawisłości. Nowe pokolenie nie pamięta dawnego ucisku a widząc dzisiejszą nikczemność staje się obojętnem dla dobra publicznego pozostawiając politykę politykom z zawodu.

Nad wszystkiem górują kwestye społeczne i ekonomiczne. Już początek wieku słyszał nieznane dotychczas hasła,

*) W stowarzyszeniu młodzieży uniwersyteckiej w Wiedniu, w „Ognisku“, wygłosił powyższy odczyt znany polityk hr. Wojciech Dzieduszycki. Czytelnikom podajemy odczyt w streszczeniu. Przyp. Red.

rzucone przez angielskich ekonomistów, głoszących nowe przykazanie: „Pamiętaj, abyś się bogacił„. Ludzkość posłuchała niebacznie nawoływania, zamieniającego pożądliwość przyrodzoną w obowiązek. Gonitwa za pieniądzem stała się treścią życia, majątek został głównem źródłem społecznego znaczenia Cały świat bije czołem przed złotym cielcem; najwyuzdańszy zbytek prywatny wydał się rzeczą dozwoloną.

Jednak ta szalona gonitwa za mamoną nie pozostała bez znakomitego pożytku dla ludzkości posiadającej już ogromne skarby wiedzy; matematyczne i przyrodnicze nauki uprawiane dla utylitarnych celów dokazały niewidzianych cudów, będących wieku naszego wielką a słuszną chlubą; zapomocą pary i elektryczności pomniejszono, zniesiono niemal odległość na ziemi, umożliwiono ład administracyjny niebywałego porządku, zwalczono srogość głodu i powietrza. Przez tysiączne wynalazki stały się dostępnemi dla wszystkich przedmioty dawniej dostępne tylko bogatym, polepszono byt klas najuboższych, książkę i dziennik rozrzucono po całej powierzchni świata, uczyniono wreszcie wojnę pomiędzy państwami Europy rzeczą tak straszną, że groza jej stała się największą rękojmią pokoju. Wśród wielkiej, a stałej obfitości pomnożyła się ludność naszej części świata w dwójnasób, mimo nieustannej falangi płynących za morze emigrantów; wsie wzrosły w dostatek, powstały ogromne miasta, świetne porządkiem i bogactwem, choć może pozbawione malowniczej piękności.

Opanowanie natury nie ze wszystkiem jednak przyczyniło się do szczęścia rodzaju ludzkiego; walka o byt i o dobrobyt stała się niesłychanie zaciętą, morderczą, gorączkową, pomiędzy ludźmi, uzbrojonymi w dzisiajsze maszyny, których działanie byłoby się wydało cudem przodkom naszym, choćby filozofom z osiemnastego stulecia. Człowiek osamotniały, wydarty ze związków rodzinnych i stanowych, narażony na najnaglejsze zwroty szczęścia, nie ma czasu, odetchnąć, wypocząć, nie ma czasu skierować swego ducha ku poetycznemu lub religijnemu ideałowi; wśród walki bez wytchnienia, prowadzi po ogromnych miastach, fabrykach i biurach, albo na kolejach i parowcach życie całkiem sztuczne, przeciwne naturze ludzkiej, oderwane od przyrody, a widzi jak chytry występek gromadzi kolosalne fortuny, wyzyskując cnotliwą prostotę. Zwątpił więc niejeden o honorze, o cnocie i obowiązku, a sarka na szczęśliwych szalbierzy tylko dlatego, że im zazdrości. Wydoskonalona administracya wzięła człowieka w żelazne obręcze szkoły, wojska, urzędu, pozbawiając go swobody i osobistej godności.

Rodzina stała się ciężarem, a ludność przestała się mnożyć we Francyi, mnoży się coraz wolniej w Anglii i Niemczech. Zwiększa się pod koniec stulecia liczba wyrafinowanych zbrodni, podjętych z zimną krwią i rozmysłem, zwiększa się liczba samobójstw, nawet i u dzieci, a domy obłąkanych są przepełnione.

Nie wierząc w nic jak tylko w dobrobyt, a pozbawieni politycznych ideałów, złorzeczą zwyciężeni w walce o byt ładowi społecznemu i gromadzą się pod jeden sztandar w celu wydarcia przeciwnikom nagromadzonych skarbów. W całej swej jaskrawości występuje przed nami walka klas. Socyaliści chcą państwu oddać dziesięćkroć tysiąc razy silniejszą władzę nad każdą jednostką, niż ją ma państwo obecnie, anarchiści chcą je zburzyć, a przeciw tym teoryom powstają zadowoleni i nasyceni głosząc, że ład społeczny obecny jest doskonały.

Z każdym dniem opór bogatszych staje się pewnym siebie, natarcie wydziedziczonych silniejsze. Zadania społeczne, myśli reformy zaprzątają wszystkie myślące głowy i z góry przewidzieć można, że rozwiązanie kwestyi społecznych będzie głównem zadaniem przyszłego stulecia. Ku rozwiązaniu tych kwestyi ludzkość skieruje też najlepsze siły swego ducha.

Wojciech hr. Dzieduszycki.





Z TYGODNIA.

„Król umarł — niech żyje król!“ takiemi słowy ogłaszano ludowi fruncuskiemu śmierć panującego i wstąpienie na tron jego następcy a w tych symbolicznych słowach chciano wyrazić, że jakkolwiek *osoba* króla się zmienia, to wszakże urząd, *system*, instytucya trwa nieprzerwanie dalej. To samo wrażenie towarzyszy społeczeństwu polskiemu przy zmianie osób zajmujących urzędy ministrów pruskich: zmiana to osób, ale nie systemu. To też nikt nie przywiązywał wagi do tego, że w ostatnim czasie na nowo obsadzono teki ministeryalne, bo *wobec nas* ci panowie wszyscy mają jednakie „dobre chęci“ ujawniające się w germanizacyi. Poszedł sobie Recke, poszedł Bosse — przyszedł Rheinbaben i Studt a w tej zmianie tym punktem niezmiennym, stałym pozostaje *hakatyzm.* Kto by temu nie wierzył, ten mógł się przekonać z rozpraw sejmu pruskiego, gdy na wywody ks. prałata Jażdżewskiego ministrowie pp. Rheinbaben i Studt uważali za niezbędne złożyć swe polityczne „wyznanie wiary“ w sprawie polskiej, które tak wyglądało, jakby żywcem zaczerpnięte było z „Ostmarki“. Mówcy nasi dla zasady zadali sobie pracę oświetlania naszego położenia politycznego, skoro pp. ministrowie ich słuchać nie chcą, tem gorzej dla nich samych. My sobie już damy radę...

Jak się zdaje, ministrowie pruscy przyjęli pewność siebie i niezwykłą butność w traktowaniu spraw bieżących od sekretarza spraw zagranicznych Bülowa, który w parlamencie niemieckim wygłosił filipikę przeciw Anglikom. W mowie swej Bülow zagroził Anglii zerwaniem stosunków, tak iż cesarz niemiecki usiłuje osłabić rozdraźnienie, jakie mowa Bülowa wywołała w Anglii. Przyjmując prezydyum sejmowe, cesarz omawiał wojnę z Boerami, wychwalał armię Boerów i ubolewał zarazem, że po stronie angielskiej poległo tylu oficerów. Wreszcie zaznaczył cesarz, że postępowanie prasy niemieckiej w sprawie z Transwaalem niesłychanie mu utrudnia unikanie starć z Anglią, których sobie bynajmniej nie życzy.

Tymczasem skądinąd zapewniają, że wszystkie rządy europejskie wyczekują tylko chwili, aż się Anglia bardziej jeszcze osłabi stratami w Afryce, aby wystąpić z pretensyami.

Straty te są coraz dotkliwsze. Świeżo znowu poseł tranwaalski na Europę dr. Leyds otrzymał wiadomości, podług których dalszy marsz generała Warrena został zupełnie uniemożliwiony. Boerowie przypisują sobie jaknajzupełniejsze zwycięstwo. Armia Warrena poniosła tak wielkie klęski, że nie jest wcale zdolną do bitwy. Dalsze telegramy potwierdzają, że generał Warren poniósł istotnie wielką klęskę. Dwaj generałowie angielscy padli trupem na placu boju. Armia jego zdziesiątkowana i niezdolna do walki. Ilu ludzi zabitych, ilu rannych, dotąd nie stwierdzono. W Londynie i całej Anglii padł strach. Ludzie po ulicach biegają jak obłąkani.

Angielskie sprawy w Indyach stoją również bardzo niepomyślnie. Straszliwy głód dziesiątkuje ludność całą i przyczynia się do wywołania ogromnego wzburzenia przeciw rządowi, który niebezpieczeństwa zażegnać nie umiał. Wydatki jakie rząd ponieść musi, wynoszą przeszło 80 milionów marek, a ilość ludzi cierpiących głód obliczają na 25 milionów. Około 4-ch milionów ludzi pobiera wsparcie i zapomogi z kas rządowych, jest to jednak prawdziwą kroplą w morzu. Anglia wyczerpana wojną nie jest w stanie dostarczyć kapitałów, więc rząd indyjski sam sobie radzić musi.

Rosya już zaczyna wyzyskiwać fatalne położenie Anglików. Z Persyi nadchodzi wiadomość, że przeszło 30 tysięczny korpus wojsk rosyjskich wkroczył już w sferę wpływów angielskich, a dla ugruntowania znaczenia Rosyi w Kabulu osiada konsul rosyjski.

Za przykładem Rosyi idzie i Francya. Francya, jak się zdaje, dąży do opanowania Marokko, a pisma paryskie donoszą, że major Marchand poprowadzi nową wyprawę francuską w głąb Afryki. Tak więc angielskie terytorya równocześnie z dwóch stron zaatakowane by były. Równocześnie z Paryża nadchodzi wiadomość, że trójprzymierze Niemiec, Austryi i Włoch zostanie odnowionem, a nawet, że przekształci się ono w związek celny. Jest to rzecz nader wątpliwa i prawdopodobnie jest to wersya puszczona przez Paryż przez samychże Niemców, dla których nieodnowienie przymierza okropnym byłoby ciosem. Wątpimy, aby Austrya i Włochy zgodziły się na jakieś dalsze skojarzenie się sojuszem z Niemcami, z którego ci tylko korzyści mają.

W Wiedniu — gdy nie przeszło nawet kilka tygodni — nowy gabinet już stoi u steru. Tymczasem jest prezydentem ministrów von Koerber i zamierza „długo“ stać u steru. Gdyby parlament i ten gabinet miał odrzucić, nastąpić ma rewizya konstytucyi.

W nowem ministerstwie zasiada też nasz rodak, minister dla Galicyi prof. Piętak ze Lwowa. Urodził się w r. 1841 w Przemyślu, a od 1869 zajmował katedrę przy uniwersytecie we Lwowie. Piętak ma mandat do Rady państwa ze Lwowa, otrzymał go po ustąpieniu Smolki. Piętak należy do umiarkowanie liberalnego obozu i cieszy się ogólnemi sympatyami.

Jednym z nieprzewidzianych a niepożądanych skutków wojny z Boerami jest — brak węgla, który się daje obecnie uczuwać w całej Europie. Strejki w kopalniach węgla oraz silne mrozy do tego stopnia nadwyrężyły zapasy, wyczerpane zresztą zamówieniami z Anglii wskutek wojny, że ceny więcej niż w dwójnasób podskoczyły. Magistrat w Dreźnie był zmuszony zmniejszyć fabrykacyę elektryczności, pomimo, że w ten sposób wielką szkodę ponosi ruch tramwajów i oświetlenie miasta. Szereg szkół ma być zamknięty z powodu braku środków opałowych. W różnych krajach fabryki już próżnują, albo ogromnie ograniczają ruch; na wielu liniach prywatnych ruch pociągów znacznie zmniejszono. Obawa zachodzi, aby wskutek braku węgla nie była przerwana żegluga parowa.

W ubiegłym tygodniu rozeszła się wielce niepokojąca wieść, że w Krakowie zdarzył się wypadek śmierci z powodu dżumy. Pogłoska ta oparta była na nagłej śmierci Dra Kostaneckiego, który w laboratoryum prof. Bujwida zajmował się badaniem dżumy. Przypuszczano więc, że zaraził się bakcylami. Tymczasem, po szczegółowem badaniu okazało się, że Dr. Kostanecki umarł na zapalenie płuc, nie mające nic wspólnego z zarazą. Wszystkie zwierzęta, na których robiono doświadczenia, oraz wszystkie preparaty zniszczono. Dobrze, że obawy okazały się płonne, bo dżuma w brudnych galicyjskich miasteczkach znalazłaby sobie prawdziwe siedlisko. *K. O.*



PRZEGLĄD PRASY.

Prasa polska z okazyi kończącego się stulecia przepełniona jest wszelkiego rodzaju refleksyami na temat naszego politycznego położenia. I w istocie niesłychanie ważnem jest zdać sobie sprawę, czyśmy się jako naród podźwignęli i pokrzepili, czyśmy też bolejąc po utracie niezależności marnieli, od owej chwili przed stu laty, gdy młodzież gromadząca się pod sztandarami rewolucyi francuzkiej wnosiła protest przeciw rozbiorom i oświadczyła światu, że „Polska jeszcze nie zginęła“. Na pytanie to tak doniosłe trafną jeśli chcemy dać odpowiedź, nietylko naszym musimy przypatrzyć się dziejom, ale musimy przypomnieć stuletnią historyą Europy i trzeba porównać nietylko przeszłość z teraźniejszością, ale Polskę z Europą, a wtedy potrafimy dać odpowiedź na to pytanie.

A choć ona w sercu każdego prawego Polaka niezatartemi lśni zgłoskami, choć wewnętrzny głos nam mówi, że sprawa nasza nie jest bezpowrotnie zgubioną, dobrze jest w rozumowaniu rzecz oświetlić i z wyników pracy naszej zdać sobie jasno sprawę. W godnych zanotowania słowach zamyka swój pogląd na tę sprawę **„Gaz. Narodowa“**:

„Jesteśmy tedy i będziemy; duch Mickiewicza nieśmiertelny, gdy patrzy na Polskę swoją, smuci się jej uciskiem i utrapieniem, ale cieszy się życiem i żywotnością, ręczącą za przyszłość. Przebolejemy. Pod każdym względem — gdy o polityce zapomniemy — rzecz możemy sumiennie, żeśmy inne, starsze narody doganiali, żeśmy je w niektórych rzeczach już dogonili, żeśmy się w innych rzeczach do nich zbliżyli, żeśmy nigdy liczbą i cywilizacyą tak wysoko nie stali, żeśmy odrobili niejedno ostatnich wieków rzeczypospolitej zaniedbanie. W polityczne kombinacye nie powinniśmy się bawić; nie od nas zależą, tylko od nieobliczonego biegu dziejów; jeżeli nadejdą niespodzianie, a nas zastaną zdrowych, silnych i rozumnych, padnie z nich korzyść dla nas; w przeciwnym razie, jeśli najpomyślniejsze zewnętrzne okoliczności zastaną naród mdły, schorzały, bezmyślny, nie pomogą temu narodowi. Znaczenie polityczne jest tylko jednym, choć niezmiernie ważnym dobytkiem żyjącego narodu, a bywa wynikiem jego sił, skutkiem społecznej pracy, a nie ich źródłem i początkiem. Dzieje także ostatniego wieku pouczają nas o tem wymownie, że niepodległością obdarzony naród, niezasługujący na podległość, niedojrzały, ani szczęścia, ani ładu, ani siły w tej niepodległości nie znajdzie; piękną barwą na mapie odmalowany, nędznie marnieje. Naród poważnie pracujący wybije się na wierzch dziejów samą pracą powszednią — nie wiadomo, w jaki sposób i w jakich formach.

W tej pracy nad duchowem i umysłowem odrodzeniem naszego społeczeństwa gwiazdą przewodnią powinna być dla nas gorąca miłość ojczystego języka. Nasz lud swój język kocha jako drogą spuściznę po przodkach, jako pomost, który łączy przeszłość z przyszłością, niby dwa krańce urwiska, rozdzielonego przepaścią. Lud nasz też czuje wszelkie krzywdy językowi wyrządzane, a jak bardzo on je odczuwa, dowodem korespondencya ogłoszona w **„Gazecie Opolskiej“** jako odpowiedź na czelność jakiegoś żydowskiego pismaka, który język Górnoślązaków nazwał *„das Bischen wasserpolnisch“*.

„Tak nazwała żydowsko - niemiecka „Kattowitzer Ztg.“ język polski Slązaków. Ponieważ rozpoczęły się nauki przygotowawcze dzieci do spowiedzi i komunii św., przeto w słusznem zrozumieniu rzeczy przypomniał „Katolik“ rodzicom polsko-katolickim święty obowiązek, aby posyłali dzieci swoje na katechizm polski, gdyż tylko taki wykład wpaja się w serdzice dziecka i przynosi dobre owoce, który udzielanym bywa w języku ojczystym. Rodzice sciągają na siebie ciężką odpowiedzialność przed Bogiem, jeżeli dla próżności lub innych błahych powodów posyłają dzieci polskie na katechizm niemiecki. Cóż jaśniejszego jak to?

„Inaczej jednak roi się w głowach naszych przyjaciół w rodzaju „Katowicerki“. Tam pedagodzy z pod ciemnej gwiazdy zadają temu wprost kłam, a w dodatku twierdzą, iż lud nasz nie jest już na takie potrzeby wrażliwym, owszem woli posyłać dzieci na naukę niemiecką, niż starać się o tę „trochę wasserpolszczyzny.“

„Każdy Slązak musi być oburzony, czytając taką niedorzeczność, że język jego, ta „odrobina wasserpolszczyzny“ nie zasługuje na to, aby w nim nauczano jeszcze dzieci katechizmu. Co prawda, to wyrażenie takie zdradza tak nizki poziom duchowy, że nie zasługuje, aby nad niem się zastanowiono. Nie o to też nam chodzi, lecz o to, aby sobie przypomnieć, czem jest nasz język. Ta „odrobina wasserpolszczyzny“ przydałaby się doprawdy pismakom „Katowicerki“, bo przedstawiłaby ich oczom całe bogactwo tego języka. Jest to ten sam język, silny, jędrny, którym przed trzema wiekami tłomaczył pismo święte z łacińskiego ks. Jezuita Wujek, ten sam język, w którym ks. Piotr Skarga miewał swoje porywające kazania i pisał nieocenione swoje Żywoty świętych. Tym językiem mówili przodkowie nasi, kiedy nas oderwano od przyrodzonego pnia, od Polski, a poczęto przeszczepiać to do Austryi, to znowu do Prus. W okolicach rolniczych, dokąd jeszcze nie sięgnęła kul-

tura niemiecka, zachował się ten język w pierwotnej swej sile i czystości.

„Gdyby rządy zaborcze nie tamowały na każdym kroku naszego rodzimego rozwoju i cywilizacyi, tobyśmy byli rozwinęli sobie język porówno z braćmi naszymi w Krakowie, w Poznaniu i Warszawie."

Skwapliwie notujemy ten objaw samowiedzy narodowej, jako fakt pocieszający, mogący zupełnie zrównoważyć wiele innych smutnych wieści o niemczeniu się ludu.

Ale nietylko cześć i miłość ojczystego języka potrzebna narodowi, który się praw swych na przyszłość nie zrzeka: należy do tego i poszanowanie przeszłości. Cieszy nas też, ilekroć w pismach znajdujemy dowód, że pietyzm dla pamiątek ojczystych nie zanika, lecz nawet w miarę zwiększającej się odległości lat, wzrasta.

„Kuryer Poznański" ogłasza list króla Jana III Sobieskiego, dotyczący wotum króla-wojownika, zrobionego dla kościoła piaseczyńskiego. Dokument ten zarówno historyków zawodowych, jak i szerszą publiczność zająć może.

Posiadając starostwo gniewskie za czasów jeszcze hetmaństwa wiel. koronnego i później już jako król, Jan Sobieski często przebywał w Gniewie, niedalekim od Piaseczna (po niemiecku Pehsken), położonego po lewej stronie Wisły, obecnie w pow. kwidzyńskim. Ta przeto okoliczność stała się zapewne powodem pamięci króla o piaseczyńskim kościele, w którym do cudownej figury Matki Boskiej szczególne miał nabożeństwo.

Miejscowe nawet podanie zaznacza, że król, wybierając się na Turka i Tatara, uczynić miał ślub, że jeżeli za przyczyną Matki Najświętszej Bóg mu dopomoże w zwycięztwie, to w takim razie nad kościołem w Piasecznie zaciągnie sklepienie.

Bohater z pod Chocima w 1674 roku przed zimą wyruszył już przeciw hordom tatarskim, zamierzającym torować drogę padyszachowi do dalszych może zaborów.

Powiodło się polskim zastępom nieopodal Bracławia. Chan tatarski, po doznanym pogromie, zniewolony był powrócić do Krymu i wtedy to właśnie, po odniesionem zwycięztwie, pomny na powzięte postanowienie upamiętnienia tego faktu, w kościele piaseczyńskim wysłał król polecenie w piśmie treści następującej:

„Urodzony wiernie Nam miły! Domyślić się nie możemy, co tego za przyczyna, że przez tak dobrze ordynowaną z Prus do Lwowa i ze Lwowa do Nas pocztą, od wier. Tw. na różne listy Nasze doczekać się nie możemy responsu, a pisaliśmy w różnych domowych i ekonomicznych rzeczach do wiern. Tw., jako też via oni targów gdańskich. Pilnie zatem żądamy, abyś większą na potem wiern. Tw. czynił pilność i odpisywał na to, o co się do wiern. Tw. pisze. Ofiarowaliśmy Panu Bogu, że kościół w Piasecznie mamy zasklepić. Zaczem zlecamy wiern. Towarz. i żądamy, żebyś do wykonania tej intencyi Naszej, teraz zimą potrzebnych przyczynił materyi i rzemieślnika do tejże roboty umówił. Uczynisz w tem wiern. Tw. wolę Naszą, któremu Nasze ofiarujemy chęci.

W Bracławiu, 27 Janu. 1675 r.

Jan Król."

Pismo w oryginale, opatrzone gabinetową pieczęcią królewską u spodu, przepisane wyżej w dosłownej kopii, lecz z poprawkami ortograficznemi, znajdujące się w posiadaniu prywatnem, zaadresowane jest na ostatniej stronicy: „Do pułkownika Henryka Debolego" (pradziada Augusta Debolego, posła Rzpltj Polskiej i chorążego nadw. koron. za panowania Stanisława Augusta), ówczesnego zwierzchniego komendanta fortec Elbląga, Gniewu, Grudziądza, Malborga, Tczewu i Torunia, starosty grodowego tczewskiego, oraz administratora ekonomii malborskiej do dóbr stołowych królewskich należącej i starostwa gniewskiego, które osobiste króla Jana uposażenie stanowiło.

Cudowne to miejsce i teraz ściąga tysiące pielgrzymów, lecz jak wielce czczone było dawniej w prowincyi pruskiej, świadczy o tem dotychczas utrzymujące się w Piasecznie wspomnienie, jako w czasie nużącego pochodu pod Wiedeń, Kaszubów, znajdujących się także w wojsku, król do wytrwałości w trudach zachęcał, mawiając do nich: „Trzymajcie się dobrze, moje dzieci, a ja popamiętam o waszej Matce Najświętszej Piaseczyńskiej.

Ze tradycye te wśród wiernego ludu kaszubskiego się zachowały, najlepszy to dowód, że dusza naszego ludu to rola, którą by nie mógł zorać pług germanizacyjny, a obsiać Hakata swem przeklętem, jadowitem ziarnem zaborczości i gnębienia! O, bezwątpienia, cieszyliby się Niemcy, gdyby tak mocą swych „rozporządzeń" mogli z serc ludu polskiego usunąć pamiątki przeszłości, jak usuwają napisy polskie z szyldów — ale gdy z szyldami wojnę zwycięzką toczą, niech zwyciężają: dalej wara!

O wojnie władz pruskich z szyldami i napisami polskiemi ciekawy fakt komunikuje **„Wiarus Polski"**:

„Rozporządzenie dziwaczne otrzymał gościnny p. Schmidt w Wiemelhausen, u którego miewa posiedzenie tamtejsze polskie Tow. bł. Bronisławy. Pismo to brzmi: „Ze względu na zebrania polskiego Towarzystwa, jakie się u pana odbywają, donosimy uprzejmie, że publiczne ogłoszenia, wywieszania i t. d. obcojęzykowych towarzystw, inaczej jak w mowie niemieckiej, w obrębie Pańskiej restauracyi nie są dozwolone. Wójt." (podpis nieczytelny).

„Nadmieniamy dla lepszego zrozumienia, że Tow. bł. Bronisławy posiada tablicę, na której jest podana nazwa towarzystwa, a na tej tablicy ogłasza zarząd, kiedy zebranie najbliższe się odbędzie. Nawet ta więc tablica kłuje w oczy policyą. Spodziewać się należy, że gościnny się nie ulęknie, bo podobny nakaz jest nieprawny!

„W taki sposób chcą sobie „zjednać" lud polski! Na każdym kroku trzymają nad Polakami bat w garści, i potem są jeszcze tak naiwni, że żądają, aby ich Polacy za to kochali."

To też my ich za to tak kochamy, jak na to zasługują! *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Poznań, w Styczniu.

Szanowna Redakcyo „Pracy"

Postępowanie Hakaty pruskiej wobec nas przybiera coraz bardziej cechę otwartej i nieliczącej się z zaporami konstytucyjnemi walki; rozporządzenie sekretarza stanu i głównego dyrektora poczt p. Podbielskiego, który nagle, nie kryjąc się nawet poza „względy służbowe" (zwykły dotychczas używany w tych razach zwrot), za jednem pociągnięciem pióra przesiedlił szereg podwładnych swych Polaków — w głąb Niemiec, ogromnie rozgoryczyło nasz ogół, będąc zapowiedzią dalszych bezględnych kroków przeciw nam.

Przesiedleni, nie wszyscy nawet urzędnicy etatowi, zostali zaskoczeni rozporządzeniem tem znienacka. — W trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia oznajmiono im, że od 1-go kwietnia pełnić będą służbę już na nowych siedzibach. Jednych przeniesiono do Hanoweru, innych do małych księstewek w Turyngii, innych zaś na pogranicze saskie. Charakterystycznem jest, że żadnego nie przeniesiono do takiej miejscowości, gdzie istnieje już kolonia polska, lub możność jej stworzenia: do Berlina, Kolonii, Wrocławia lub do Westfalii nie został przesiedlony żaden. Jak słusznie już „Praca" pisała, sprawa tego przesiedlenia, w bolesny sposób dotknąwszy szereg rodzin polskich, na chwilę usunęła z porządku dziennego inny „kwiatek"*) — mianowicie rozporządzenia policyjne, wydane przeciw Polakom, właścicielom aptek. Rozporządzenia ta sprawiają nawet na przyzwyczajonych do wszelkiego rodzaju niespodzianek policyjnych wrażenie czegoś nadzwyczajnego. Mniejsza z tem, że usuną istniejące obok napisów niemieckich napisy polskie. Jestto zwykły sobie oset, kolący wprawdzie, ale nieszkodliwy, zresztą niech to nazwie kto jak chce — ale do takich ostów jużeśmy byli przyzwyczajeni. Przestały one na nas robić wrażenie, budzą tylko politowanie. Ale zrobiono coś lepszego: oto w większej części powiatów poznańskiego i bydgoskiego obwodu regencyjnego władze rewidowały apteki, a gdzie na pudełkach, tytkach, papierach do naklejania i zawijania znaleziono *obok niemieckich* polskie napisy „wewnętrzne", „trucizna", „przed użyciem zmieszać" i t. d., tam odnośne przedmioty skonfiskowano. — Autentyczność tych wiadomości nie ulega żadnej kwestyi, są one jednak takie, że wiary się im dać nie chce.

Niektóre pisma niemieckie, a między innemi nawet fachowy organ aptekarzy *„Apotheker Zeitung"* nie chce na razie — aż do potwierdzenia – dać wiary tym wieściom, sądząc, i słusznie, że w publicznej służbie zdrowia miarodawczemi być powinny jedynie potrzeby publiczności, nie zaś względy polityczne.

Lecz do tych bagatelek (ładne bagatelki! – przyp. Red.) nie ograniczyła się akcya, skierowana przeciwko aptekarzom (ciekawa rzecz, dla czego właśnie

*) Korespondent użył tu bardzo drastycznego słowa, które zastępujemy — przez względność na nerwy prokuratorskie — pachnącym, wonnym kwiatkiem.

aptekarzy upatrzyły sobie władze). Rejencya rozporządziła otóż, a organa wykonawcze zastosowały to rozporządzenie do Polaków, aby w aptekach, gdzie czynnym jest sam (właściciel bez prowizora) nie wolno było trzymać elewa. Wskutek tego liczni właściciele aptek w małych miasteczkach, którzy dawali sobie dotychczas sami radę przy pomocy elewa, byli zmuszeni do zaangażowania prowizora z pensyą najmniej 1800 mk.

O tych rozporządzeniach pisze berliński organ socyalno - demokratyczny *„Vorwärts“* że „zapalczywość germanizatorska uniosła władze administracyjne za daleko.“

Ministrowie pruscy o tych wypadkach wiedzą, bo są od tego, aby wiedzieli; wiedzieć też muszą, jakie wrażenie robią one na ludności polskiej; — a jednak wciąż powtarzają uparcie, że „Polacy powinni czuć się obywatelami państwa pruskiego“. Jakże ci biedni Polacy mają się czuć obywatelami, jeżeli raz po raz takie i tym podobne dowody „ojcowskiej“ pieczołowitości rządu otrzymują! Czy to nie jest satyra! czy to nie ironia! Przecież w chwili, gdy hakatysta proponuje, aby Polakom zabronić nabywania ziemi, Polak *nie może* czuć się obywatelem! on *musi* uważać siebie za odartego z praw obywatelskich! A na to panowie ministrowie z łaskawym uśmiechem mówią: Powinniście być wdzięczni za otrzymane dobrodziejstwa! powinniście uważać się za obywateli.

A i owszem — niech ministrowie tak dalej wobec nas postępują, to niebawem ostatni chłopek nasz będzie miał poczucie tego, jakiego to rodzaju wdzięczność winien tym swoim panom dobrodziejom! *X. X.*

* * *

Bernburg, Anhalt w styczniu.

Łaskawa Redakcyo!

Oddawna, jak jestem abonentem „Pracy“ nie spotkałem jeszcze ani razu korespondencyi z Bernburga (Anhalt). A ponieważ nas tu jest nietylko dużo, ale nadto mamy własne towarzystwo nasze, więc uczuwam jako obowiązek mój, skreślić te parę słów do kochanej naszej „Pracy“. Niestety, gdy okiem rzucę na naszą tutajszą Polonię, nie uśmiecha mi się serce, ale gorzko boli, bo nie wiem nawet, ażali mam za Polaków uważać tych, co pożenili się z Niemkami i powoli wrastają w obce, wrogie nam społeczeństwo, jak drzewo przesadzone na inny grunt wrasta. A o Polkach, które z Niemcami ślub wzięły, to już nawet nie wspominam, bo to jakby ich nie było wcale, a niejedna to i wrogiem się staje dla Polaków, który z tych Niemców socyalista — to zabroni nawet do kościoła chodzić swej żonie a nieraz to i wygraża i wymawia jej narodowość polską, przeciw Polakom wygadując. Napatrzyłem ja się tu na takie rzeczy niemało i dlatego jedyny ratunek przed nieszczęściem widzę w towarzystwach polskich.

Jest tu towarzystwo założone w roku 1894 pod opieką św. Józefa; posiada ono swą własną chorągiew a członków liczy obecnie około trzydziestu.

Towarzystwo nasze ma na celu gromadzenie Polaków dla zawiązania stosunków towarzyskich między nimi i wzajemne wspieranie się. Prezesem jest obecnie pan Krawczyk (Stiftstr. 25). Dobrzeby było, aby do biblioteki naszego towarzystwa przysłali poczciwi ludzie jakie polskie książki do czytania, bo ich mamy mało. Towarzystwo nasze obchodziło niedawno (3-go Grudnia zeszłego roku) pięcioletnią rocznicę swego istnienia. Dzień ten obchodziliśmy zakupioną na intencyę towarzystwa Mszą św.

Nasze zebrania odbywają się u pana Stoka (Schlossbrauerei) a członkowie przychodzą ze swemi żonami.

Uciechę nam sprawia, gdy kiedykolwiek dziecko polskie na obczyźnie wychowane potrafi deklamacyą jąką wygłosić. Towarzystwo nasze wdzięcznem jest panu Dominalskiemu z Berlina, który, przebywając tu w Bernburgu dwa lata, założył chór śpiewacki i wykształcił tak, że teraz czysto polskie pieśni narodowe możemy śpiewać aż się dusza raduje. Wskutek przeprowadzenia się jego z Bernburga Towarzystwo nasze poniosło prawdziwą stratę.

Kończę wierszem któregom się tu nauczył na obczyźnie:

Błogosław Boże rodzinnej ziemi,
Błogosław polskiej, rodzinnej glebie,
Nasza młódź polska niech się rozpleni,
Jak piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie.

Pracujmy z Bogiem — On nasz obrońca,
Daje nam łany miłością żyzne
I niwa dojrzeje pod okiem słońca
I naszą pracą zbawim ojczyznę.

A teraz odzywam się do wszystkich moich przyjaciół na obczyźnie i w kraju. Bracia! Czytajmy „Pracę“ — bo to jest pismo, które każdemu Polakowi pogląd na świat wyrabia i uczucie patryotyczne w sercu rozbudza, uszlachetnia nasz umysł i obywateli z nas robi.

Józef Spychalski.



Z chwili.

— Organ „Wszechniemieckiego związku“, „Deutsche Ztg.“, przytaczając cyfry, mające świadczyć o wzroście żywiołu polskiego w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, tak pisze: „Pomimo komisyi kolonizacyjnej, żywioł niemiecki w walce o ziemię wciąż jeszcze jest słabszą stroną. Wobec tego faktu zmuszeni jesteśmy powrócić do naszego żądania, aby wreszcie nastąpiło ograniczenie Polaków w możliwości nabywania ziemi. Liczby w tym razie są tak wyn owne, że wprost apelują do poczucia odpowiedzialności naszych mężów stanu. Taka odpowiedzialność cięży atoli nietylko na nich, lecz także na członkach pruskiej Izby deputowanych, zwłaszcza przedstawicielach zagrożonych przez polonizm (!) dzielnic.“ Jasno i dobitnie. Co zaś do wzmiankowanych cyfr, gazeta „Berliner Neueste Nachrichten“ obliczyła, że w ciągu roku 1898 wielka i drobna własność ziemska niemiecka straciła ogółem 2,316 hektarów, które przeszły do rąk polskich.

Skarży się gazeta, że Niemcy nie kupują ziemi w Poznańskiem, albo nabywszy, spieszą się odprzedać ją Polakom. Na to, rzeczywiście, trudna rada. Niemcy, to praktyczny naród. Oczywiście posiadanie ziemi w Poznańskiem jest dla nich rzeczą niepraktyczną i niedogodną. Że też dzienniki hakatystyczne zachęcają rodaków swoich do niepraktyczności! „Freisinnige Ztg.“ idzie jeszcze dalej. Z przytoczonych cyfr wyprowadza wniosek, że cała akcya kolonizacyjna nic nie warta i nie ma racyi bytu... My przeczyć nie myślimy.

* * *

— Ślązk pruski nie wesoło rozpoczął rok nowy. Złość szowinizmu niemieckiego, gniotąca coraz silniej w kleszczach germanizacyi lud polski, zwróciła się oczywiście z specyalną namiętnością ku Śląskowi górnemu, który od tak dawna uchodził za ziemię do krwi i kości niemiecką, a nagle budzi się i zaczyna mówić, pracować, modlić się po polsku.

Zdarzyło się, że pewien chłopiec szkolny — widocznie przez pomyłkę — przyniósł razem z innemi książkami do szkoły elementarz polski. Dojrzał to nauczyciel, którego niewinny elementarz polski tak wyprowadził z równowagi umysłu, że chłopca zbił niemiłosiernie, matce zaś zagroził, że tego wsparcia pobierać nie będzie, ponieważ mając pieniądze na elementarz polski. musi też mieć pieniądze i na inne książki szkolne i ubranie dla dzieci.

Takich i podobnych wypadków możnaby tu na setki naliczyć. A przecież nie o wszystkich tego rodzaju wypadkach się dowiadujemy.

Tu policya zakazuje zebrania, tam odmawia sali, tu wreszcie występuje przeciwko teatrowi amatorskiemu, gdzieindziej zawadza jej nawet to, że Towarzystwo w swym lokalu posiedzeń, ma na ścianie zawieszony obraz świętego Stanisława, jako patrona polskiego.

Niedawno towarzystwo przemysłowe w Królewskiej Hucie miało przecież proces o św. Stanisława. Już nietylko policya, ale sąd wydał na Towarzystwo potępiający wyrok za to, że na ścianie sali obrad był zawieszony obraz św. Stanisława. Wyrok ten sądy pruskie tak uzasadniły: Ponieważ Towarzystwo ma za swego patrona św. Stanisława, a św. Stanisław jest patronem i świętym polskim, więc towarzystwo uprawia narodowo-polską politykę, która zagraża niemczyźnie, bo ma na oku oderwanie Ślązka od państwa pruskiego.

Na takie i podobne szykany i kłucia szpilkami jest na Ślązku pruskim narażone publiczne życie polskie.

A jednak pomimo tej niedoli ono budzi sić i rozwija z zdumiewającą intensywnością. — Nie wszystko jeszcze dzieje się tak, jak być powinno, nie wszędzie jeszcze zniknęło przekonanie, że Górnoślązak to specyalny typ narodowy, nie Prusak wprawdzie, ale też nie Polak, kto jednak porówna to, co było przed 8 lup 10 laty z tem, co jest dzisiaj, ten przyznać musi, że proces uświadomienia narodowego na Ślązku postępuje ustawicznie i coraz szersze zatacza kręgi. *Z.*



Przestroga!

W Galicyi, na Górnym Ślązku, a obecnie we Wrocławiu kręci się jakieś indywidyum, przedstawiając się jako były redaktor „Pracy“ i rzekomo ścigany przez rząd pruski etc. Włóczęga ten polując oczywiście na dobroduszność i łatwowierność Publiczności, jest pospolitym wyzyskiwaczem. Indywidyum to wyzyskało też nawet kilku redaktorów pism galicyjskich. Przestrzegamy tedy rodaków, mianowicie zamieszkałych we Wrocławiu — gdzie obecnie owe indywidyum bobruje. Dla informacyi podajemy też jeszcze, że jest to młody człowiek w wieku około 20 lat, wysoki i nieco garbaty.

Jan Sabała Krzeptowski,

gęślarz tatrzański,

przez

Walerego Eljasza Radzikowskiego.

(Do illustracyi albumowej),

Jestto postać legendowa w Tatrach, bo i któż o nim nie słyszał, co chociaż raz zaglądnął w ten cudowny świat górski. W nim uosabia się cała generacya górali tatrzańskich minionej już epoki, która pozostawiła w dziejach Podhala niezatartą kartę podań, wiadomości rzeczywistych jak i fantastycznych, opartych na aktach urzędowych lub tkwiących w zapiskach rękopiśmiennych dotychczas niepublikowanych.

Jan Sabała Krzeptowski urodził się z początkiem r. 1809 z rodziny Gąsieniców, a więc z bardzo starego w Zakopanem rodu. Do tych innych nazwisk przyszedł on przez posiadanie gruntów, to przez ożenienie, to przez dziedzictwo, co między góralami w Tatrach jest zwyczajem z obowiązku, gdyż niedałoby się ich odróżnić, tak ich bowiem dużo bywa z jednem i tem samem imieniem i nazwiskiem.

Młodość mu przeszła wesoło, ale awanturniczo, do czego skłoniły go stosunki owoczesne na Podtatrzu. Zbójnictwo z dawien kwitnęło tamże, bo to w Tatrach mieli niepospolitą obronę liczne gromady tych hultajów, którym się pracować nie chciało, tylko umieli żyć wesoło, tańczyć przy skrzypkach, stypy sute sobie wyprawiać i — polować.

Natura tych ludzi była tak dzika i twarda, jak te góry, które zamieszkiwali. Zahartowani w wszelakich zapasach, czy to z naturą, czy z ludźmi, z jakimi naokoło bójki toczyli, wychodzili na bohatyrów w oczach ludu.

Otóż najdoskonalszym typem takiego syna przyrody tatrzańskiej był ten oto Jan Sabała, którego wizerunek z natury w starości już nakreślony przedstawia go w chwili, gdy się zatapiał w wygrywaniu melodyi oryginalnych na swoich gęślikach staroświeckich.

Melodyje te przechowały się nietylko w żywej tradycyi u najtęższych skrzypków góralskich, ale i w nutach przez muzyków naszych ujętych w swoim czasie.

Instrument jego był niedołężny, tak pierwotny, jak sam artysta, co na nim tony wywoływał z kilku stron. Nosił on swoje gęśliki w rękawie od guni, zawiązanym u dołu, aby nie wyleciały. Zrozumieć te Sabałowe melodyje dawało się na tle tatrzańskiej przyrody. Trzeba było znaleźć się gdzieś na przełęczy w turniach, zdala od gwaru świata powszedniego i w tej ciszy pustyni głazów dosłyszeć grającego gdzieś pod wantą Sabałę, zatopionego myślą w przestrzeniach, po których tylko orły bujają. Wtedy czuło się, jak to wszystko harmonijnie do jednego tonu nastrojone: i te urwiska, i te przepaście — w nich jak czarne oczy połyskujące stawy tatrzańskie — świst dzikich kóz, i te obłoki nóg się człowieka czepiające, a na tem tle ów malowniczo odziany stary góral w wichrach i watrach uwędzony, grający na gęślikach!

Ta muzyczna namiętność była już końcową jego życia brawurą, z musu, gdy wzrok mu stępiał i sił zabrakło do ścigania niedźwiedzi, oraz do boju z Liptakami o kozice, boć teren do polowania był dlań obcym pod względem własności. Musiał Sabała polując w Tatrach na zwierzynę dobrze uważać, aby nie wpaść w ręce strażników, z którymi następowała walka o życie. Czasem rozstrzygała w zapasach siła, czasem zdolność w chodzeniu po Tatrach, iżby przeleźć tamtędy, gdzie koza nawet nie da rady.

Trzecim, jeżeli się tak wyrazić można, zawodem Jana Krzeptowskiego, było opowiadanie o przeszłości swej i innych podobnych jemu towarzyszy w dziedzinie myśliwstwa, pasterstwa, zbójnictwa i wogóle życia góralskiego w Tatrach. Następnie tematem opowiadań jego bywały baśnie i wyobrażenia o życiu na tle filozofii ludowej. Pyszne są te Sabałowe opowieści, podsłuchane przez różnych pisarzy i niektóre już drukowane w oryginalnej gwarze góralskiej.

Nieocenione przymioty posiadał on do opowiadania. Wyrazisto, dobitnie, jasno i tak plastycznie umiał on to wszystko opowiedzieć, iż trafiało to do umysłu każdego.

Słyną do dziś dnia wycieczki urządzane po Tatrach przez profesora dr. Tytusa Chałubińskiego z Warszawy, których nieodstępnym towarzyszem był Krzeptowski Sabała. Wwieczór przyszedłszy gdzieś na nocleg, czy w schronisku, czy pod gołem niebem przy ognisku, gdy skrzypce umilkły, tańce góralskie ustały i tylko kubki z gorącą herbatą krążyły między odpoczywającymi po trudach całodziennych — Sabale zaiskrzyły się oczy i zaczął swoje opowiadanie.

Było czego posłuchać; — niewyczerpany miał on zapas powieści, a nigdy się nie powtarzał. Policzyć mu trzeba to do nadzwyczajnych osobliwości, że nie posiadał wady zwyczajnej starych ludzi, którzy lubią pasyami powtarzać jedno i to samo po sto razy, że się każde ich słowo naprzód wie, nim je wypowiedzą. Przez to bywają nudnymi. Sabale, chociaż się trafiło nieraz, iż naprowadzono go umyślnie na powtórzenie tej samej baśni, to jednak wypadła ona zawsze odmiennie co do sposobu wyrażenia. Fantazya u tego człowieka była zaprawdę niepospolita!... Nie trzeba się dziwić, że osoby, co znały tego gęślarza tatrzańskiego, z takim zachwytem o nim wspominają, bo umiał on za serce schwycić każdego, co się do niego zbliżył, zrozumiał go i ocenił należycie.

Umarł Sabała prawie nagle, bo w odwiedzinach na Bystrem dnia 8-go Grudnia 1894 r. i kiedy uczuł, że już koniec jego życia, to wyszedł jeszcze do drzwi, spojrzał na Tatry i ruchem ręki z ukochanemi górami się pożegnał.



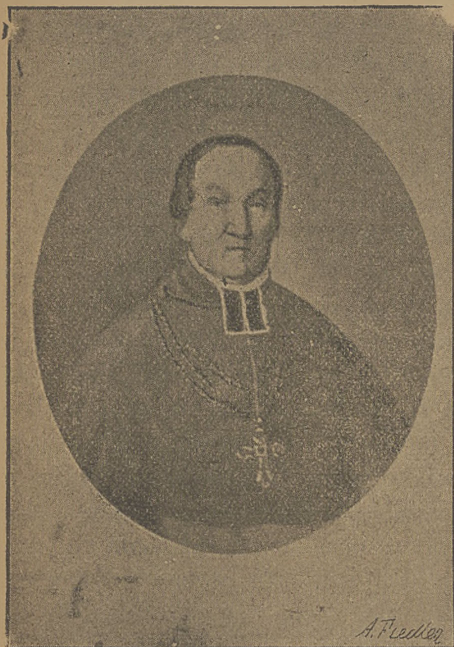
Z pamiętnych chwil.*)

I.

W marcu 1848 roku wybuchła w Berlinie rowolucya. Lud żądał przyrzeczonej mu przez króla a nie nadanej przez rząd królewski konstytucyi. Chwila wybuchu była dobrze wybrana — król się upokorzył. Wybuch rewolucyi w Berlinie, oswobodzenie więźniów polskich, cofanie się rządu na całej linii — były hasłem dla Księztwa Poznańskiego. Wiadomość o wypadkach berlińskich przebiegła błyskawicznie wszystkie warstwy społeczeństwa i zelelktryzowała wszystkie. „Teraz — albo nigdy! Teraz czas działać, aby rząd zmusić do spełnienia przyrzeczeń danych ludności polskiej — albo dobrowolnie zrzec się chyba odrębności i praw narodowych“. Taką była myśl przenikająca wszystkie umysły. Równolegle z akcyą, jaką rozwinął komitet narodowy w Poznaniu, postanowiono działać w Berlinie. W tym celu

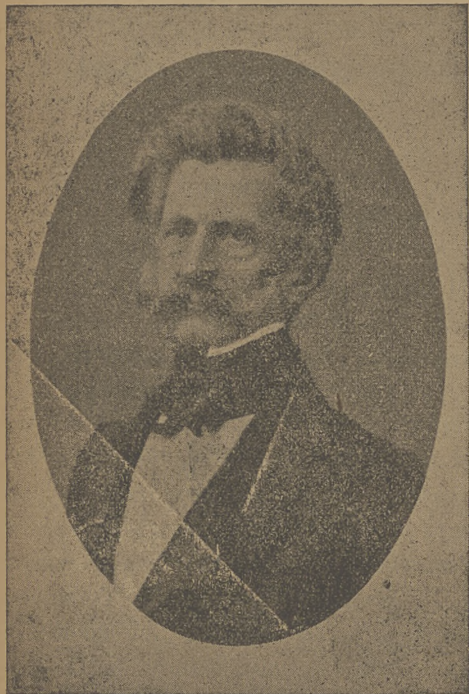
*) Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.

udała się do króla Fryderyka Wilhelma IV. deputacya złożona z siedmiu osób pod wodzą Arcybiskupa ks. Przyłuskiego. Do deputacyi należeli: Hr. Mielżyński, Hr. Roger Raczyński, generalny dyrektor landszafty Brodowski, Dr. Kraszewski, kierownik seminaryum duchownego ks. Dr. Janiszewski, adwokat Krauthofer i Jan Palacz.



Ksiądz Leon Przyłuski,
arcybiskup gnieźnieńsko-poznański i przywódzca delegacyi w r. 1848, który od roku 1845 do 1865 zasiadał na stolicy św. Wojciecha.

Deputacya poznańska przybyła dnia 22-go marca do Berlina. Tu się przyłączyli do niej świeżo wypuszczeni z więzienia spiskowcy z r. 1846-go, między nimi i Ludwik Mierosławski, wraz z kooptowanymi w ten sposób członkami, liczyła deputacya przeszło dwadzieścia osób.



Seweryn Mielżyński
z Miłosławia, członek Wydziału wojskowego.

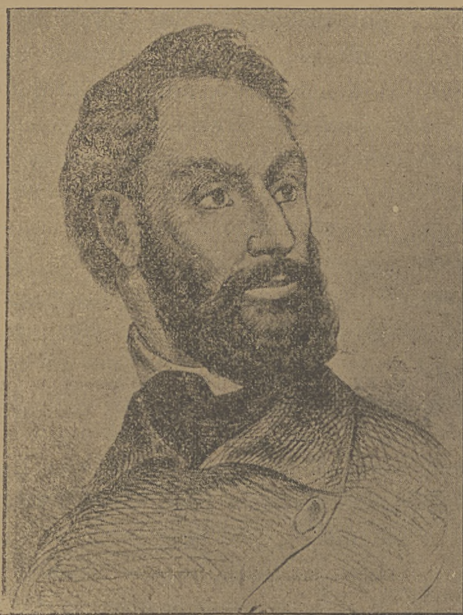
Tymczasem król, poinformowany o wzburzeniu umysłów w Poznańskiem, pospieszył się z udzieleniem audyencyi przybyłym i przyjął ich w otoczeniu ministrów nazajutrz po ich przybyciu do Berlina t. j. dnia 23 marca.

Arcybiskup Przyłuski odczytał petycyę następującą:

„Wasza Królewska Mości!

Ogólne dążenie narodów i państw europejskich do odpowiadającej potrzebom czasu reorganizacyi politycznej głęboki znalazło odźwięk w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, mianowicie wśród ludności polskiej. Gdy ludy i państwa niemieckie zjednoczyły się, aby stworzyć jednolite państwo oparte na zasadzie narodowości, cała ludność prowincyi poznańskiej żywi jednomyślne przekonanie, że w tej samej chwili wybiła godzina odrodzenia Polski.

Przekonanie to stało się już potężnym moralnym czynnikiem; opinia publiczna całych Niemiec je popiera i podtrzymuje;



Adwokat Krauthofer-Krotowski,
oskarżony o zdradę stanu w roku 1848, członek komitetu narodowego.

doprowadzi ono do ruchu, który się krwawo zakończyć może. Nie mogąc tego ruchu zażegnać postanowiliśmy przedłożyć Waszej Królewskiej Mości stan rzeczy i parcie konieczności, aby nakłonić do wydania rozporządzeń, mogących w polskiej ludności Wielkiego Księztwa Poznańskiego utwierdzić obudzone nadzieje. Zabierając tu głos w charakterze reprezentantów Księztwa, składamy do rąk Waszej Król. Mości najuniżeniej propozycyę zasadniczego zatwierdzenia narodowej organizacyi W. Ks. Poznańskiego, któraby się dała przeprowadzić szybko, lecz w granicach prawa i pod opieką W. Król. Mości. Niezbędnem jest w tym celu utworzenie komisyi tymczasowej dla spraw W. Ks. Poznańskiego, któraby przy współudziale król. komisarza dokonać miała dzieła narodowej reorganizacyi. Lista członków tej komisyi, mężów zaufania całej ludności, niebawem przedłożoną zostanie W. Król. Mości do zatwierdzenia. Najbliższem zadaniem rzeczonej komisyi byłoby 1) Zastąpienie sił wojskowych korpusem złożonym z sił miejscowych.

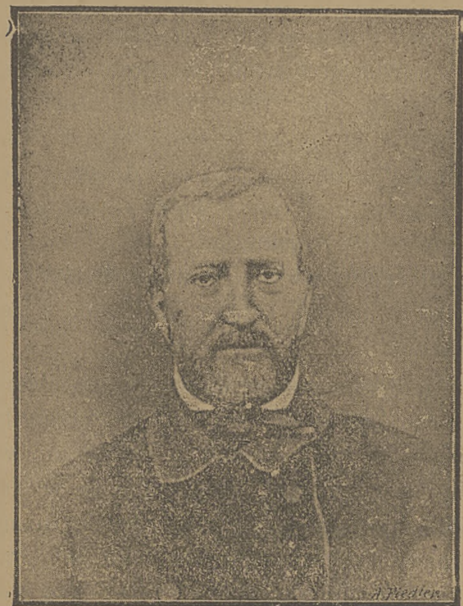


Maciej Mielżyński
z Chobienic, członek komitetu narodowego.

2) Obsadzenie posad rządowych mieszkańcami prowincyi.

Dla przygotowania tej reorganizacyi byłoby przedewszystkiem niezbędnem, aby W. Król. Mość rozkazać raczył: 1) utworzenie gwardyi narodowej, 2) zniesienie obecnie sprawujących urząd władz policyjnych, a zastąpienie ich urzędnikami obieralnymi.“

Na to odpowiedział król w dłuższej mowie, świadczącej o jego niezdecydowaniu, które było zresztą cechą jego charakteru, że bardzo mu jest przykro, jeśli na urzędach istotnie mało jest Polaków, ale niestety okazało się, że brak im odpowiednich kwalifikacyi; że jeśli mowa o jakichś krwawych starciach —



Jan Palacz,
członek deputacyi obranej w roku 1848 przez komitet narodowy, celem organizacyi narodowej.

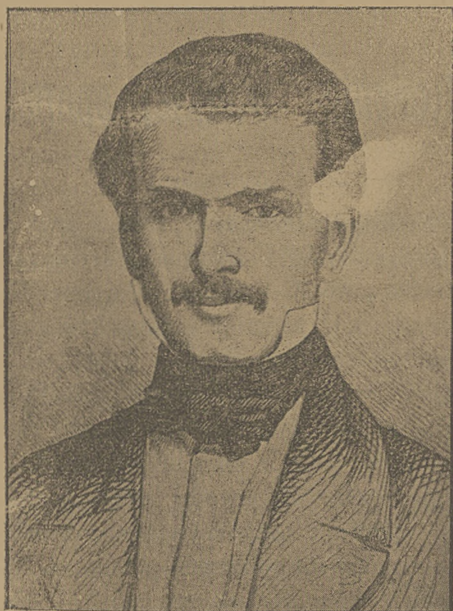
co oznacza niebezpieczeństwo oderwania się Poznańskiego od Prus — to przecież on rządzi się tylko bardzo naturalnem dążeniem, jeśli chce utrzymać w swem posiadaniu prowincyę, odziedziczoną po



Karol Libelt,
członek komitetu narodowego i delegat na ugodę Jarosławiecką.

ojcach; dalej, — że błagać musiał cesarza rosyjskiego, aby w razie zamieszek w Księstwie wojska rosyjskie nie wkroczyły i nie zajęły prowincyi.

Cesarz rosyjski — mówił król dalej — nie dopuści do tego ze względu na bezpieczeństwo swych własnych granic,



Dr. jur. Władysław Niegolewski,
obrońca adwokata Krautbofera, oskarżonego o zdradę stanu w r. 1848.

abyście Panowie w Księztwie przygotowywali oderwanie się od Prus, — a sami, bez mojej pomocy, rady sobie z niem nie dacie. Nie liczcie na wasz lud prosty, bo ten jest mojemu domowi przychylny. Potem poświęcił król kilka uwag wypadkom 1831 roku, przytaczając je jako dowód, że usiłowania Polaków, nawet w lepszych warunkach, pozostały bezowocne.

Widząc, że król ogólnikowemi frazesami historyozoficznemi chce odpowiedzieć deputacyi na jej wyraźnie sformułowane propozycye, wystąpił członek deputacyi dr. Kraszewski, aby kwestyę jasno postawić. Powiedział on mniej więcej w ten sposób: Wasza Król. Mość źle jest poinformowaną przez swych urzędników o stosunkah w Poznańskiem. Obietnice królewskie z r. 1815, które zabezpieczyć nam miały naszą narodowość, nie zostały nam wiernie dochowane. Władze rządowe nie liczą się wcale z naszemi prawami. W chwili jednak, gdy cała opinia publiczna Niemiec zjednoczonych sympatyzuje z naszą sprawą i książęta nie będą mogli stanąć jej na przekór. Niestety — mieć złe informacye od swych podwładnych — zwykły to los panujących.



Ksiądz Aleksy Prusinowski,
ur. w Gostyniu 1819, um. 1872, miłośnik ludu polskiego, gorliwy kapłan patryota, który w r. 1848 był członkiem komitetu Narodowego, a potem gorliwym był szermierzem Ligi Polskiej, czyli bratniej łączności wszystkich stanów narodu, opartej na miłości ludu i jego oświeceniu obywatelskiem.

Król, urażony trochę, na ostatnie słowa Kraszewskiego odrzekł: „A los Polaków - to zawsze dać się oszukiwać zwodniczym nadziejom“.

Kraszewski nie pozostał królowi dłużnym i rzekł:

„Niestety nietylko nadziejom — ale i przodkom Waszej Królewskiej Mości.“*)

„Jak to?“ zapytuje król! — „A powstanie 1831 roku? powiada Kraszewski. Poprzednik W. Król. Mości zadał nam cios ostateczny, udzieliwszy przeciw nam pomocy. — A choć nam szczęście nie sprzyjało, to przecież dowiedliśmy wtedy światu, że kolos rosyjski na glinianych spoczywa nogach.“

Król: „Co do mnie, to sądzę, że kolos ten ma nogi z żelaza.“

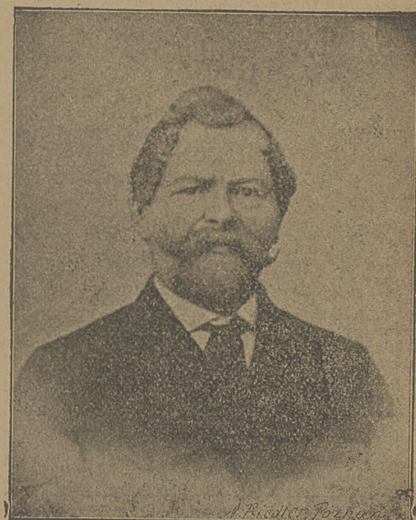
„O, uśmiechnął się ironicznie Kraszewski, myśląc o tej niedawnej chwili, gdy król na rozkaz tłumu zdjął kapelusz



Gustaw Potworowski z Goli,
członek komitetu narodowego i kandydat na naczelnego prezesa.

wobec ofiar berlińskich rozruchów, — wszakże najświeższe wypadki dowiodły nam, że i niektóre inne kolosy, co mają z pozoru nogi z żelaza, w istocie na kruchej się opierają glinie.“

Król się zarumienił i krok jeden w tył ku swym ministrom postąpił, a inny członek deputacyi, Brodowski, chcąc zażegnać sprzeczkę bezcelową rzekł szybko donośnym głosem, aby niedopuścić nikogo do głosu:

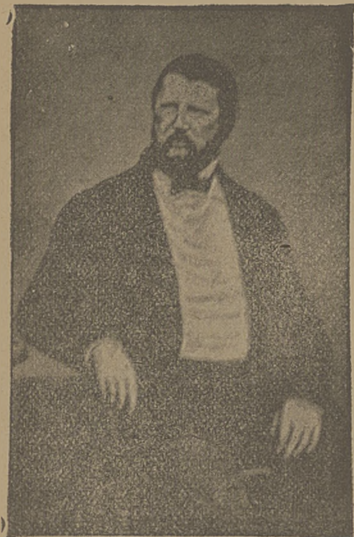


Aleksander Guttry,
członek wydziału wojskowego wybranego w roku 1848 przez Komitet polski.

„Najświętsze uczucia przywiązania do sprawy ojców naszych, do języka i obyczai narodowych zostały boleśnie dotknięte na każdym punkcie, pomimo gwarancyi zapewnionych w traktacie wiedeńskim. Dla władz pruskich i te prawa nasze wydawały się zbyt wielkie, bo nie odpowiadały celom rządu.“

*) Fakt historyczny.

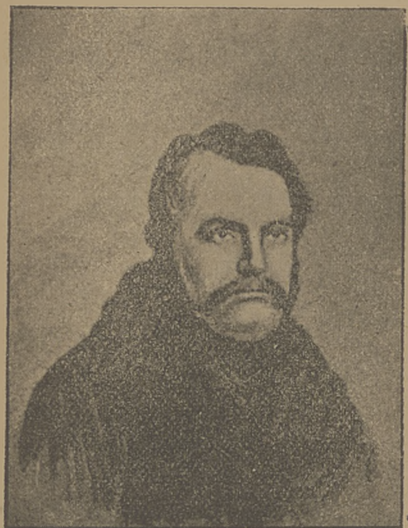
Potem Kraszewski nanowo podjął nić dyskusyi swej z królem. Król powiedział Kraszewskiemu kilka przycinków, Kraszewski się odwzajemnił, poczem król zwrócił się do arcybiskupa Przyłuskiego, zalecając mu uspokojenie wzburzonych umysłów.



Jędrzej Moraczewski.
członek komitetu narodowego, dziejopisarz polski, autor „Pamiętnika o r. 1848.

Na to odrzekł ks. Przyłuski: „Raz jeszcze błagamy Waszą Król. Mość, abyś raczył nasze prośby uwzględnić — jedyny to bowiem sposób odwrócenia od prowincyi nieopisanych nieszczęść.“

Na tem audyencya się skończyła. Królowi przedstawiono kilku członków deputacyi, z którymi słów kilka zamienił, zaznaczając, że ministrowie jego dadzą deputacyi na piśmie odpowiedź co do przedłożonych propozycyi. Odpowiedź ta istotnie nazajutrz — dnia 24 Marca — z gabinetu królewskiego nadeszła.



Tytus hr. Działyński,
ur. 1795, um. 1861.

Brzmi ona:

Do deputacyi Wielkiego X-twa Poznańskiego:

Na przedstawione mi przez W. W. Panów życzenie chcę chętnie przetorować*) nacyonalną reorganizacyę Wielkiego Księztwa Poznańskiego, która ma nastąpić w czasie ile możności najkrótszym. Zezwalam więc także na utworzenie komisyi z obudwóch narodowości, która wspólnie z moim prezesem naczelnym co do tej reorganizacyi naradzi się i podług wyniku tych narad wnioski potrzebne mi uczyni. Lecz komisya rzeczona wtedy tylko działać może, kiedy i dopóki porządek prawny i powaga władz Wielkiego Księztwa Poznańskiego utrzymaną będzie.

Berlin dnia 24 marca 1848 r.

(podp.) Fryderyk Wilhelm.

Z tą odpowiedzią wróciła deputacya do Poznania i na mocy tego przyzwolenia królewskiego zaczęła pracować nad wprowadzeniem w czyn przedłożonych a sankcyonowanych przez króla projektów.

Tymczasem jakiż był plan polityków pruskich?

Chodziło o zażegnanie natychmiastowego wybuchu, którego zapowiedź dźwięczała wyraźnie z przemówienia arcybiskupa; więc pozornie zgodził się król na wszystko, ponieważ wojska pruskie nie były skonsygnowane. Ale równocześnie, gdy pozwolenie reorganizacyi narodowej udzielonem zostało deputowanym polskim, otrzymał głównokomenderujący w Poznaniu generał v. Colomb tajną instrukcyę, aby się starał o naruszenie porządku prawnego — ponieważ w takim razie obietnica królewska nie była już ważną.

Urządzono się mniej więcej tak, jak niedawno urzędnik policyjny w Siemianowicach na Górnym Ślązku, Bundel. Pozwolił polskiemu towarzystwu na odbycie zabawy, a po za plecami jego wysłał do właściciela lokalu zakaz odnajęcia sali Polakom.

Takie sztuczki były więc już na wielką skalę uprawiane w r. 1848 — i one to charakteryzują dalszy bieg wypadków..... *Dr. R.......*

*) Anbanen. Zatrzymujemy tu orginalne ówczesne tłomaczenie.



Wspomnienie rannego,
z roku 1863.*)

Stu sześćdziesięciu walecznej młodzieży
Na placu mustry stanęło pod broń,
O bosej nodze, podartej odzieży,
Bezsenną nocą wybledniała skroń.
Trzykrotne „vivat“ powtórzyły chóry,
Na czele hufcu stanął wódz ponury.

„Rozwinąć sztandar!“ Na bieluchnem [płótnie
Jak anioł śmierci zawisł czarny krzyż,
Ponad szeregi wionął dziko, smutnie,
A tak grożąco, że aż w sercu drżysz.
Czegoż tak gniewnie w koło wódz spo- [ziera?
Nie gniew to — zapał jego pierś rozdziera.

„Bracia! oto wasz sztandar pułkowy,
Przed nim przysięgę złożycie mi dziś,
Że każdy naprzód pójdzie w bój ogniowy,
Jak lew odważny — gniewniejszy jak ryś.
„Czy przysięgacie na śmierć i na męstwo?“
— „Tak przysięgamy na śmierć lub zwycięstwo!“

„Bracia! wódz wasz prosi przebaczenia,
Po dwa ładunki dla was tylko ma,
Więc po dwóch strzałach, ramię do ra- [mienia,
Niech goły bagnet w piersi wroga gra!“
„Tak — przebaczamy! i z bagnetem w ręku
Albo zwyciężym — lub zginiem bez jęku.“

Ruszyli w pochód pod mury Miechowa,
Na pierwszy wystrzał pierwszy szereg trup,
Już się w popłochu cofa wojsk połowa,
A druga stoi zaryta jak słup.
„Wiara naprzód!“ krzyknął wódz rozżarty,
I sam na czele pędzi w bój otwarty.

Garstka szesnastu wraca do Krakowa,
A po jej środku stąpa blady wódz,
Jakiś ból straszny zamroził im słowa,
Tylko łza płynie — nie można jej zmódz.
„Kto idzie?“ krzyknęła niemiecka pie- [chota:
— „To my — szesnastu — walecznych pierwsza rota.“

D. L.

*) Na nutę: „Tysiąc walecznych i t. d.“

Rocznica wielkiej epopei.

(Dokończenie.)

Pomijając jednakże przelew krwi najlepszych synów Polski pod Marengo i nowe zdobycze pod Jeną i Auerstaedtem, których pola również polską krwią zbroczone — przypatrzmy się teraz, co Napoleon w zamian uczynił dla Polski, czy był wdzięcznym za polską krew serdeczną i czy i co mamy mu do zawdzięczenia? Z powodu szczupłych łamów „Pracy“ rozpoczynamy w krótkiem streszczeniu od pobytu Napoleona w Warszawie.

Pobyt w Warszawie otwiera Napoleonowi nieznane horyzonty. Tutaj, na mazowieckich piaskach, na trzęsawiskach litewskich, pociągnięty aż do brzegów Niemna, uświadomił sobie Napoleon w pełni niezmierne znaczenie europejskie Wschodu i Rosyi, oraz uświadomił własne, fatalne, przygniatające, a dłużej niecofnione europejskie powołanie. Przecenił swe siły. W tem olbrzymiem oddaleniu od pierwotnego swego

punktu wyjścia, obejrzał się wstecz, od brzegów Niemna, za daleką Francyą, sięgnął spojrzeniem przed siebie w niewiadome, bezgraniczne zaniemieńskie przestrzenie, w niewiadomą, nieobliczoną przyszłość i nie wahał się do niej wtargnąć od pierwszego razu, rzucić w nią siebie, swój wspaniały dorobek potęgi i sławy, losy swoje, swego narodu i świata. W tem położeniu nadzwyczajnem, u słupów herkulesowych kultury zachodniej, na samym krańcu Zachodu, w samych już odemkniętych wrotach Wschodu, wysilił cały swój instynkt, cały swój wrodzony zmysł polityczny i całą pomysłowość, byle własny rozpęd zadowolić. Wreszcie jako zwycięzca pierwszy kładzie szpadę do pochwy, na pomoście tylżyckim ujmuje dłoń cesarza Aleksandra... Nietylko ofiaruje pokój, lecz doprasza się przyjaźni, bierze w opiekę interesy pokonanego przeciwnika ze szkodą i krzywdą Polski, szanuje nawet miłość własną cara, osładza mu gorycz porażki, oddaje należne uznanie waleczności rosyjskiego żołnierza, zawiesza znak legii honorowej na piersi grenadyerów rosyjskich, oświadcza się przyjacielem, wielbicielem, bratem upokorzonego cara, sam na sam spędza z nim długie wieczory na otwartych, zdumiewających wynurzeniach, roztacza przed nim wszystkie skarby swego geniuszu, odsłania najszersze widnokręgi, wynosi go na jedynego towarzysza, na równego uczestnika sławy i dzieł swoich, uwzględnia jego potrzeby, ulega jego życzeniom, wyrzeka się zniszczenia Prus, zaspakaja Rosyę, oddaje jej Finlandyę, wydaje Szwecyę, otwiera widoki na wydanie Turcyi i wbrew przyrzeczeniu zadawala się — stworzeniem skromnego Księstwa Warszawskiego i to z samej tylko pruskiej części, bez najniezbędniejszych podstaw terytoryalnych i politycznych, nawet bez Ślązka i połączenia z Saksonią, zadawala się odrodzeniem głowy — bez tułowia! Poświęca wiele, tylko nie dla Polski...

Staje na rozwiązaniu połowicznem, na myśli podziału świata.

W czasie wojny hiszpańskiej znów Austrya zaczyna się zbroić. Napoleon ostrzega Austryę, jak ostrzegał Prusy, przekonywa, prosi niemal. Nadeszło zwycięztwo pod Wagram. Napoleon może obalić Austryę, może jej zabrać 10 milionów, ale teraz już chce, potrzebuje ją zachować, lecz o Polsce i tu jeszcze nie myśli. Kiedy pokój z Rosyą zaczyna się chwiać, byłoby rzeczą łatwą oddać Księztwu Warszawskiemu całą Galicyę, ale cesarz nie chciał uczynić niczego, co mogłoby wzniecić niepokój jego wysokiego alianta, cesarza rosyjskiego.. Jego Cesarska Mość nigdy nie zamyślał o odnowieniu Rzpltej Polskiej, tak pisał Napoleon do cara.

Następuje wreszcie stanowczy zwrot Rosyi przeciw Francyi. Napoleon rozumie, przenika politykę Aleksandra I-go. „Jeśli będę zniewolony bić się z wami — mówi Kurakinowi w sierpniu 1810 r. — to wbrew mojej woli. Prowadzić 400 tysięcy ludzi na najdalszą północ, przelewać krew bez żadnego powodu, bez żadnej korzyści — cóż za szaleństwo!“ „Rosya — mówił gorączkowo do Czernyszewa w Fontainebleau — jest pod względem geograficznym naturalną przyjaciółką Francyi! Wojna pomiędzy nami dla obu byłaby niebezpieczną.“ Polaków wstrzymuje i ochładza oznajmieniem: „Nie powinni oni oddawać się niebezpiecznym mrzonkom.“

Ks. Józef Poniatowski otwiera Napoleonowi w r. 1811 oczy: zapowiada atak moskiewski na Księztwo za najbliższych dni wiosennych przez armię główną, liczącą sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi,



Książę Józef Poniatowski.

trzymającą w odwodzie potężne korpusy rezerwowe. „Stoimy naprzeciw siebie — mówił ks. Józef — z palcem na cynglu: koniec końcem, czyjaś broń musi sama wypalić.“

Zatem Napoleon nie mógł już dłużej czekać ze zbrojeniem się, chociaż jeszcze nosił się z myślą pogodzenia się z carem. W lutym r. 1812 wyprawia Czernyszewa z listem do cesarza Aleksandra, w kwietniu wyprawia nowego gońca zgody do Wilna, gdzie kwaterował cesarz Aleksander, traci długi, niepowetowany czas w oczekiwaniu odpowiedzi, zamierzoną pierwotnie potężną akcyę waszawską po namyśle przytępia i okrawa, rozdziela szeregi wojenne Księztwa, roztapia je w morzu wielkiej armii, oddala od głównego łożyska pochodu, obawia się uniesień Warszawy z r. 1806, obawia się dla Wilna ponowienia rzeczy krakowskich z r. 1809.“ Ale wypadki poszły swoją koleją...

Tak do największej gry swego wielkiego życia przystępuje Napoleon. Przystąpił — i przegrał.

Teraz dopiero rozpoznaje Napoleon, że błąd popełnił dozgonny, odsuwając sprawę polską na szary koniec, lecz już było zapóźno...

Napoleon — w przeciwieństwie do ubóstwiającej go legendy — nie był zbawcą ludów, a już najmniej Polski! — Był on wielkim wodzem, wielkim zdobywcą, ale jeszcze większym zbrodniarzem względem Polaków i własnego narodu. *E. B.*

Precz!

Tęsknić i wzdychać, łzy żalu ronić,
To strasznie kobieca rzecz,
To siły ducha darmo roztrwonić,
Za życia jeszcze pogrzeb wydzwonić,
Łzy, żale, westchnienia precz!

Nie nam to wzdychać, nie nam w łzach
Nam siły, nam życia trza, [marzyć,
Niż płakać, lepiej w gromadzie gwarzyć,
Nie gasić ognia, ale rozżarzyć,
Precz z płaczem, przeklęta łza!

Póki tam iskra gdzieś w piersi płonie,
Zapału lśniący się miecz,
Skupić pierś z piersią, związać dłoń w dłonie
Nie nam to wzdychać, myśleć o skonie,
Westchnienia, westchnienia precz!

Straty to głupstwo, czyż raz się traci,
Los figlarz podrzuci wstecz,
Czyż żal największy przeszłość opłaci?
Jest chęć do pracy, więc my bogaci
Nadzieją, a żale precz!

Niechaj ten płacze, kogo strach dusi,
Kto w błocie gotów do snu,
Kto się puharem cierpień zakrztusi;
Kto się do dalszej pracy nie zmusi,
Kto oślepł na białym dniu.

Niech ten zrozpacza, kto bez rozumu
Bez siły ducha szedł w świat,
I upadł trwożny wśród wichrów szumu,
Nad tłum nie wyższy, zginął wśród tłumu,
Zdeptany, syknął jak gad.

Niech ten rozpacza, kto samolubem
Jak pająk w kącie żyć chciał,
Kto już z podłością związał się ślubem,
Komu nikczemność marzeniem lubem,
Kto jak pasożyt krew ssał.

Niechaj ten tęskni, niechaj ten wzdycha
Kto słodycz zwykły jest pić,
Komu się rozkosz jakaś uśmiecha,
A tu prąd wichrów od niej odpycha,
Kto przywykł jak smakosz żyć.

Miękkie westchnienia, łzy patetyczne
To dzisiaj nie nasza rzecz,
Nie dla nas dzisiaj marzenia śliczne,
Trza żyć inaczej, czasy krytyczne,
Powiedzmy głupstwom: precz, precz!

E. S.



Z ojczystych stron.

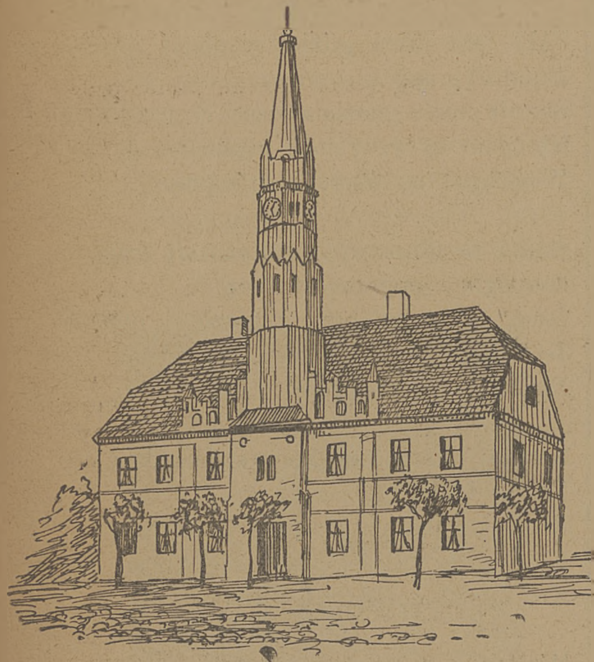
XLI.

Sarnowa.

„Szanuj przeszłość i pamiątki,
„Szanuj ojców twoich ziemię...“

O pięć mniejwięcej kilometrów od Rawicza leży Sarnowa, małe, schludne miasteczko, znane w Księztwie i w sąsiednich prowincyach z nadzwyczaj ożywionego ruchu handlowego. Tak jak większa część miast Księztwa, była i Sarnowa początkowo osadą i to należącą do klasztoru w Trzebnicy, którego rozległe włości sięgały onego czasu aż okolic Poznania. Klasztor w Owińskach należał wtedy także do Trzebnicy.

Kiedy została Sarnowa założoną, tego na pewno powiedzieć nie można, kronikarze wspominają o miejscowości tej dopiero w 13 wieku. Nazwano ją wówczas Zarnowo, potem Sarnow, w r. 1455 Zarnow, a w r. 1458 Sarnowo.



Ratusz w Sarnowie.

Książę Przemysław opiekował się troskliwie nowozałożoną osadą i zwolnił nawet na prośby Przełożonej klasztoru w Trzebnicy, Gertrudy, i swej siostrzenicy Agnieszki, mieszkańców od płacenia podatków. To też osada powiększała się bardzo szybko i otrzymała w r. 1262 prawa i przywileje miasta. Władysław Łokietek potwierdził wszystkie rozporządzenia swego poprzednika i uzupełnił je o tyle jeszcze, że zwolnił od podatków wszystkie okoliczne wsie.

Ale te dobrodziejstwa nie okazały się korzystnemi dla Sarnowy. Idąc za przykładem króla, zwalniali inni wielcy panowie, mający miasta, także od podatków, a że lud wolał mieszkać w większych miastach, przeto Sarnowa nie rozwijała się teraz już tak, jak się król tego spodziewał. Nawet nowo założona bita droga z Sarnowy do Wrocławia żadnej nie przyniosła zmiany na lepsze. I tak w r. 1458 była Sarnowa małem miasteczkiem i miała obowiązek dostawienia w czasie wojny czterech pieszych żołnierzy.

Na początku 15 wieku była Sarnowa zależną od Lwa Dunina. Jakim sposobem została odłączoną od klasztoru trzebnickiego, i stała się własnością Dunina, tego nikt nie wie.

W r. 1407 nadał miastu nowy dziedzic prawo magdeburskie, ustanowił burmistrza i radnych miasta, i przyznał im prawo sądzenia wszystkich przestępców i karanie ich nawet śmiercią.

Sto lat później był właścicielem Sarnowy Grzegorz Obornicki, ale i tym razem niewiadomo, jakim sposobem przeszło miasto w jego posiadanie. Obornicki, czyli Skóra de Gaj, opiekował się także bardzo troskliwie miastem i uzyskał w r. 1516 pozwolenie króla na odprawianie targów i jarmarków. Po nim odziedziczył Sarnowę Mieszkowski, który jeszcze więcej zaprowadził jarmarków, a co taki jarmark dla miasta znaczył, to można się łatwo domyśleć, jeżeli się zważy, że każdy jarmark trwał 3—4 tygodni, a często nawet i dłużej.

Podczas wojny trzydziestoletniej przybyło tu bardzo wiele Niemców, Czechów i Morawian, którzy prześladowani straszliwie w ich ojczyznie za przyjęcie nowego wyznania, uciekali do Polski i szukali tutaj opieki i przytułku. Panowie polscy okazywali się dla nich zawsze łaskawymi i obdarzali ich hojnie pieniędzmi i ziemią, pozwalając zakładać wsie i miasta i budować kościoły. Tak też było i w Sarnowie. Wkrótce zebrało się tutaj tyle lutrów, że wystawili sobie kościół i sprowadzili pastora.

Na końcu 18 wieku była właścicielką miasta hr. Rogalińska, później zaś rodzina Gajewskich.

Ale nie zawsze panował spokój w Sarnowie. Wojny 17 i 18 wieku wywierały bardzo niekorzystny wpływ na rozwój handlu i przemysłu, a zaraźliwe choroby i pożary niszczyły dobrobyt mieszczan i liczne zabierały ofiary. Obywatele Sarnowy ciężkie też ponosili straty pieniężne z powodu nieszczęść innych miast, i tak n. p. musieli raz zapłacić za Rawicz, który zajęli Prusacy, 230 talarów. Była to jak na one czasy bardzo wysoka suma.

W r. 1809 spaliła się połowa miasta i ratusz, a w nim wszystkie prawie ważne dokumenta. Te, które zdołano ocalić, znajdują się teraz w archiwum poznańskiem.

W 18 wieku było w okolicy Sarnowy 21 wiatraków — miasto zaś składało się z 191 domów, kościoła katolickiego i ewangelickiego i 1285 mieszkańców, pomiędzy którymi było 80 żydów.

Najgłówniejszą podstawą dobrobytu obywateli był handel bydłem. Handlarzy było wówczas 108. Drugie miejsce zajmowali płóciennicy, których liczono 85. Młynarzy znajdowało się 21, szewców 20, rzeźników 17, sukienników 11 i t. d. Była także apteka w mieście, ale jeden tylko kupiec towarów kolonialnych.

Liczba mieszkańców zwiększała się stale, chociaż bardzo wolno. W r. 1816 było ich 1340, w r. 1895 zaś 1648.

Do najładniejszych budynków należy ratusz, wybudowany w r. 1837 na miejscu spalonego.

Kościół katolicki stanął około r. 1640. — Jest on murowany, i wewnątrz bogato ozdobiony.

Władysław IV ustanowił w Sarnowie Bractwo strzeleckie, które do dziś jeszcze istnieje. Cechów nie było dawniej żadnych, pomimo, że każdej gałęzi przemysłu dużo było przedstawicieli. Handel bydłem a mianowicie nierogacizną, pozostał zawsze bardzo ożywionym. I tak spędzają tutaj zaganiacze co rok mniej więcej 350,000 szt. nierogacizny i sprzedają ją na jarmarkach najrozmaitszym kupcom z dalszych nawet miast.

Herbem Sarnowy jest jeleń na białem polu. *Kronikarz „Pracy“.*



Nieco o muzyce domowej

w wieku XIX-tym.

Charakterystycznem znamieniem muzyki domowej w wieku dziewiętnastym jest rozpowszechnienie gry na fortepianie; chociaż początku fortepianu już w wieku ośmnastym szukać należy, na dobre zapanował on w minionym co dopiero stuleciu, skoro uległszy znakomitym technicznym ulepszeniom fabrykantów francuzkich i niemieckich, stał się tak bardzo ulubionym i wyparł prawie wszystkie inne instrumenta muzyczne. Wprawdzie w pierwszych dziesiątkach używano jeszcze po domach gitary, niegdyś przez poetów tyle sławionej, używano i fletu i bardzo go lubiono, tam i owdzie spotykano się jeszcze z cytrą lub harfą, lecz zwolna, a coraz to więcej ustępowały wszystkie te instrumenta fortepianowi, który zwyciężył niemal na całej linii. W czasach, w których Beethoven stał na szczycie potęgi swej twórczej zwycięstwo fortepianu, przynajmniej we wielkich miastach, było rozstrzygniętem.

„Nie do uwierzenia — tak pisze jeden ze współczesnych Beethovena, tego klasycznego mistrza sonat — jak bardzo się rozpowszechnia zamiłowanie do gry fortepianowej; w każdym domu stoi jeden instrument, a u bankiera G. stoi ich aż pięć, szczególnie wiele grywają panie.“

Także i kształt i budowa instrumentu ustaliły się już z początkiem XIX wieku; stare fortepiana formy nieraz cudacznej przeniosły się najpierw do małych miasteczek, później poszły na ogień lub do muzei, gdzie je jeszcze teraz jako „antyki“ oglądać można.

Fortepian nie byłby się jednakowoż tak bardzo rozpowszechnił, gdyby nie było na raz powstało tak wielu kompozytorów przeważnie fortepianowych. Co za skarby muzyczne przypadły temu instrumentowi w udziele! Klasyczny Bach, naiwny i rozkoszny Scarlatti i Couperin, sentymentalny Händel, genialny Filip Emanuel Bach, różnorodny w motywach

Haydn i niewyczerpany Mozart dla niego tworzyli!

Po nich przyszedł Beethoven i wysypał z rogu obfitości geniuszu swego całą powódź utworów na ten instrument i wydobył zeń dźwięki ciche i lekkie jak wiatru podmuchy, potężne i huczne jak grzmoty. Beethovena sonaty na fortepian są pierwszem wielkiem zdarzeniem w historyi muzyki fortepianowej wieku dziewiętnastego. Stały się one wiecznym i niewzruszonym nabytkiem literatury muzycznej, stały się najmniej niezbędną własnością muzyki domowej.

Pominąwszy kilka ostatnich, najtrudniejszych sonat Beethovena, większość tych potężnych poematów muzycznych stała się wspólnem dobrem całego świata muzykalnego. Utwory takie jak sonatę Cis-moll, a nawet jego Appassionatę grywają nieraz i dyletanci wcale dobrze.

Obok Beethovena jednym z najwięcej po domach ulubionych kompozytorów jest Haydn, którego kwartety lekkie, jasne i przejrzyste więcej jeszcze nadają się do gry domowej, niż Beethovena utwory zawsze zaprawne jakąś zadumą głębszą i smutkiem. W środku między tymi dwoma stoi jako pośredni łącznik Mozart, wesoły i poważny zarazem, pełen słonecznych promieni i cieni posępnych.

Nie mniej utworów przysporzyły muzyce domowej czasy po Beethovenie: wspomnijmy nasamprzód Schuberta, genialnego w melodyach swych; ten w przeciwstawieniu do Beethovena, uprawiał przedewszystkiem rodzaj lżejszy tak zwane „genre“ na przykład w swoich „Impromptu“ i w marszach; Schubert jest właściwie ojcem muzyki domowej; po nim przyszedł Schumann ze swemi utworami pełnemi ducha i życia, ognia i poezyi; Mendelssohn, który swemi „Pieśniami bez słów“ (Lieder ohne Worte) wpływał przez pewien czas na gust muzyczny całego świata grającego na fortepianie.

Obok tych stanął godnie nasz Chopin, ten umiał w swojej muzyce namiętnej i marzycielskiej, pełnej harmonii i melodyi zespolić głęboką melancholią, miękką romantyczność i dzielną jakąś rycerskość; utworami swemi zdobył on sobie po wszystkie czasy miejsce wśród muzyków świata całego i stał się zarazem ulubieńcem przy ognisku domowem.

Dr. Ski.



To-Polka.

Ozdobna w strój majowy,
Nad las rodzinny wyższa o pół głowy,
Płodniejsza pod żelazem,
Swobody żywym stała się obrazem
Topolka.

Tak bujna i wspaniała,
Stokroć nad życie wolność swą kochała;
Jak tamta nad krzewiny,
Ta głową, sercem wyższa nad dziewczyny:
To Polka!

Ta więdnie wpośród lata,
Po listku listek z czoła jej oblata;
I nakształt śmierci ducha,
Bez włosa stoi, drżąca, mdła i sucha
Topolka.

Lecz gdy wśród śnieżnej zimy,
Na licach róże, w oku kraj widzimy;
Gdy lada dzień piękniejsza,
Ni żal, ni smutek wdzięków jej nie zmniejsza,
To Polka!

Wplątana w sieć gałęzi,
W uścisku płochym bluszcz kwitnący więzi;
Jej strumień gra miłośnie,
Wśród lubej wrzawy stu słowików rośnie
Topolka.

Lecz pochwał, gdy nie chciwa
Prostotą piękność duszy swej okrywa;
Przed miłym jej młodzieńcem
Jak zorza jasnym płoni się rumieńcem,
To Polka!

To wiecznie liść zielony,
Z powiewną skronią gnie na wszystkie strony;
Zkąd świeży wiatr zawieje,
Tam pierś nachyla, wdzięczy się i chwieje
Topolka.

Lecz gdy w miłości stała
Swych ust jednemu tylko raz podała,
I tak niezmienna w duszy,
Że przysiąg serca sama śmierć nie skruszy,
To Polka!

Kr. Orłowski.

W niewoli bisurmańskiej.

Wśród ponurej nocy dumał w podziemiach więziennych w Jedykule, obok Carogrodu leżących, bohater polski -- Samuel Korecki. On — zwycięzca Turków — teraz dźwigał ich kajdany. I wśród ciszy nocnej zadumał się, przypominając swe dzieje.

Kiedy w r. 1616 najechał wraz z księciem Wiśniowieckim Multany i Wołoszę, a po pięciodniowej walce, zdradą pojman, dostał się do niewoli, Wołosi wydali go Turkom, w zamian za udzieloną pomoc. Gdy o uwięzieniu Koreckiego dowiedział się sułtan, kazał odważnego Lacha przed się przyprowadzić. Ujrzawszy go, zapytał od kogo dostał pozwolenie najechania jego krajów.

— Mnie jako szlachcicowi nikt nie może pozwalać lub zakazywać! U mnie jam tylko panem! — odrzekł dumnie Korecki.

Wtedy sułtan jął go namawiać, by ugiął karku przed Mahometem, za co zostanie wolnością obdarzon. Lecz otrzymał odpowiedź, że Korecki nigdy nikomu kłaniać się nie będzie.

Gniewem uniesiony, wskutek tej odpowiedzi, sułtan każe Samuela wtrącić w najpodziemniejsze więzienie — ale ten, przekupiwszy straże, uchodzi cało. Po ucieczce składa Bogu dzięki za cudowne ocalenie; udaje się do Włoch, do Loretto, aby tam Matce Najświętszej podziękować za szczęśliwą ucieczkę, a prosić o opiekę na przyszłość. Z Włoch wraca do Ojczyzny, wraca jakoby gość z za świata. Tu, między swymi niedługo bawi. Sędziwy bowiem hetman, Stanisław Żółkiewski, z 10,000 wojska polskiego udaje się (1620 r.) za Dniestr, aby nawałę turecką powstrzymać.

Korecki nie zostaje w tyle za innymi: on udaje się tam, gdzie go Ojczyzna woła. Walczy obok hetmana pod Cecorą — lecz nieszczęśliwie, po raz wtóry dostaje się w ręce śmiertelnego wroga. Okryty ranami, dźwigając ciężkie kajdany, patrzył na walkę Żółkiewskiego, który, wsparty na ramionach syna i synowca, bronił się dotąd, dopóki miecz dzierżył w ręce. On widział własnemi oczyma tę chwilę, w której głowę hetmana włożono na żerdź i obnoszono po całym obozie!...

O! jakież myśli musiał przecierpieć, gdy widział hańbę narodu swego?...

A czemuż on nie zginął przy hetmanie, czemuż ziemia cecorska nie objęła swemi ramiony ciała i ducha bohatera?...

Widać, opaczność inaczej zrządziła...

Czyż ujrzy on kiedy swą ojczyznę, czyż ujrzy on kiedy łany polskie, posrebrzane żytem, pozłacane pszenicą, czyż ujrzy on kiedy swą rodzinę?... Czyż znajdzie grób w ojczyźnie, w Polsce?...

Tak dumał Korecki, na żelazistej sparłszy się dłoni.

Noc była ciemna, ponura. W więzieniu cmentarna cisza i spokój niebiański. Wiatr nieco przycichł, tylko w dali szemrał Bosfor swe żale, szumiał falami i uderzał w podziemia tak, iż się zdawało, że całe podziemie woda zaleje...

Nagle... nagle zda mu się jakby promyk błysnął! Światełko?!! Złudzenie czy rzeczywistość?!... Nie on się myli! Słychać kroki, tak ktoś idzie... Co niesie: wolność czy śmierć?..

Zamki zachrzęsły. Wchodzi czausz sułtana, oznajmia mu wolność. Grom uderzył w Samuela. Tygrysi swój wzrok wbił w serce czausza... Czegóż się wysłannik trwoży, waha?... Zdrada! Korecki zdradę wyczytał. Nie rzecze ani słowa, stąpa naprzód. Już ma próg więzienny przekroczyć, gdy czuje na szyji pętlicę. Zbladł, a usta wyszeptały króciuchną modlitwę:

— Królowo Korony Polskiej! nie daj marnie zginąć słudze Twemu!

Czuje w sobie siłę lwa. Pięścią powala najbliżej stojącego Turka i zdobywa miecz. Naprózno zgraja ku niemu przypada: on nie zna trwogi! Wszystkich do stóp powala. Olbrzym czyliż niezwyciężony?

Na krzyki przypadają drudzy, niosąc żelazne drągi. Lecz na nic wszystko: Samuel nie zna trwogi! broni się ciągle! Wtem nóż jedyna jego broń wypada z ręki — — on nie daje za wygraną: szarpie, gryzie i znów kilku zalega podłogę więzienną. Już mu się nie dostaje. Oczy mgłą zachodzą — słania się — drży — och! jeszcze jednego — w tem raz w głowę i pada z rozstrzaskaną głową.

Tak poległ nie zdradą, ni podstępem — ale od miecza, od żelaza poległ mąż żelazny, złamany — lecz nieugięty.

Jerzy Witliński.





Dział Kobiecy.

Czary i wróżby.

Wszechpotężna królowa: miłość, panuje samodzielnie na świecie, i jak wróżka z baśni obdarza ludzi już to szczęściem najwyższem, już to rozpaczą bez granic. Objawia się ona „jak woń bzu i jaśminów na wiosnę, słodka i łagodna, a jednak jest trucizną ostrą i niebezpieczną, która przenika aż do najtajniejszych głębi serca. Pali ona duszę, i znieczula ją na wszystko, bierze co jej się podoba, a nic za to nie daje. Niszczy rozum, oślepia wzrok, i pochłania całe życie człowieka“. Tak mówi pewien mędrzec turecki.

Miłość nie znosi żadnego oporu, dary swoje rozrzuca dowolnie, zakrada się w serce, i albo daje, albo nie to, czego każdy najwięcej pragnie, t. j. wzajemność.

Łatwo też pojąć można, że biedne, stroskane serce stara się o pozyskanie wzajemności, albo o odzyskanie miłości straconej, i że wszelkich w tym celu używa środków. Tutaj więc zaczyna się panowanie przesądu, owego wiary, który łączy rzeczy przyrodzone i nadprzyrodzone i przypisuje przyczynom naturalnym nadnaturalne skutki. Przeglądając zaś dzieje kultury całej ludzkości, nie znajdziemy ani jednego narodu, ani wieku, który by się umiał oprzeć tym wyskokom rozbudzonej fantazyi, mającym dla nas czasem coś pociągającego, czasem odrażającego. Te czary i wróżby w miłości wiodły serca ludzi na bezdroża po wszystkie czasy i wieki.

I tak jak miłość jest odwieczną, tak prastaremi są środki pozyskania wzajemności osoby ukochanej. Dawni Grecy i Rzymianie przypisywali wielką siłę zdobywania serc małemu ptaszkowi, podobnemu do szpaka. W tym celu przywięzywano go do koła, i podczas kiedy je obracano, szeptano tajemnicze jakieś słowa i zaklęcia. Ale ponieważ nie każdy miał zawsze ptaszka takiego pod ręką, przeto używano zamiast niego małego krążka, owiniętego w purpurę, a z czasem zdobiono nawet krążki te drogiemi kamieniami i złotem, w miarę bogactw właściciela. Dziewice rzymskie starały się znowu potajemnie o najmniejszą chociaż łatkę z ubrania ukochanego, miało to bowiem napewno zwrócić jego serce ku opuszczonej i zdradzonej.

Nieco później odgrywały wielką rolę, mianowicie u ludów germańskich, napoje miłosne. Przyrządzano je w rozmaity sposób i skutek ich bywał także rozmaitym. Głównemi substancyami, jakich do przygotowania tych trunków używano, był język ptaka Jynxa, krew gołębi poświęconych Wenerze, szkielet żmiji, pióra sowy i inne piękne rzeczy, którym przypisywano siłę wzbudzenia miłości w sercach obojętnych. Taki napój podała Kriemhilda Sigurdowi, aby zapomniał o Brunhildzie, a skutek napoju miłosnego przedstawił przepysznie Wagner w swej wielkiej operze: Tristan i Isolda.

W czasach średniowiecznych sprzedawali podróżujący wróżbiści najróżniejsze amulety i talizmany; rycerze zaś, idący na wojnę, brali od matek i sióstr święcone krzyżyki, a od kochanek amulety w kształcie serca. Talizmany były w każdym razie bezpieczniejsze, niż owe napoje miłosne, które nieraz gwałtowną zawierały truciznę. I tak umarł poeta Lucrez po wypiciu eliksiru, który mu podała piękna żona jego Lukrecya, a młody Lucullus stracił zmysły z tego samego powodu, i umarł w obłąkaniu. Cesarz Caligula popadł w szał, gdy mu żona jego Caesonia dała napój miłosny.

Miłość i pragnienie wzajemności zostaną na wieki te same, więc też środki zdobycia ich nie skończą się nigdy, a jeżeli nikt już w napoje i amulety nie wierzy, to miejsce ich zajęły karty i wróżki. Kabały są tak rozpowszechnione, że żaden stan nie jest wolnym od tego zabobonu, a wróżki i karciarki cieszą się wszędzie wielkiem powodzeniem. Wróżenie z kart znano już w r. 1200, i dziś zna je każdy nieomal, wprowadziły je zaś cyganki, które przypisują sobie umiejętność przepowiadania z kart przyszłości. Coeur oznacza zawsze miłość, król coeurowy i dama to „on“ i „ona“.

Oprócz kart odgrywają sny bardzo ważną rolę, które uważano za naturalny łącznik z światem nadzmysłowym. Ale i dziś jeszcze wierzy dużo ludzi niezłomnie w sny, i młode dziewczyny studiują pilnie senniki. Jeżeli śniło im się o siwku lub żołnierzu, to zobaczą ukochanego, brzoza płacząca i nieśmiertelniki znaczą, że „on“ jest niewiernym! Starzy ludzie twierdzą stanowczo, że sen o umarłych znaczy deszcz, ogień: pieniądze, wyrwanie zębów: śmierć w familii i t. d., i jeżeli przypadkiem śnili raz o zębach, a zdarza się, że po kilku tygodniach umrze ktoś z rodziny, wtedy powołują się zaraz na swój sen i uważają się za nieomylnych proroków.

Symboliczne znaczenie w miłości mają też drogie kamienie. I tak znaczy granat: stałość, ametyst: szczerość, rubin: miłość, szafir: żal i pokutę, brylant: niewinność, a szmaragd: wzajemność. Kolory posiadają również rozmaite własności i wzbudza kolor niebieski sympatyą, a liliowy miłość bez granic!

Póki świat światem nie ustaną gusła, czary i wróżby. Któż z nas nie zna lanie ołowiu lub cyny w wilią Nowego Roku, Trzech Króli i św. Andrzeja! Oprócz tego zaś ile to innych jeszcze przesądów panuje! W noc św. Andrzeja stawiają dziewczęta przed lustrem nakryty stół, dwie zapalone świece, dwa talerze i dwie z winem szklanki. Jeżeli o północy ukochanego w lustrze nie zobaczą to są zdradzone. Zdarzały się z tego powodu smutne wypadki, ale zababon nie ustał! Nieomylnym dowodem miłości ukochanego jest mól albo mucha, latająca ciagle nad głową dziewczyny, jak również dobrym jest znakiem, jeżeli drzwi same się otwierają. — Gdyby jednak wszystkie te środki nic zakochanym pomódz nie miały, to podajemy tu nieomylne lekarstwo „na miłość“, które bezwarunkowo pomódz musi. Przepis ten jest następującym: Weź kilka gorących spojrzeń i uścisków ręki, pomieszaj to z kilku kroplami łez i kilku gramami figlarności, zazdrości i westchnień, dodaj odrobinę namiętności, kilka taktów walca i polki, parę kieliszków szampana nieco przysiąg miłosnych, i wymieszawszy wszystko dobrze, daj „mu“ tego co godzinę pełną łyżkę.

A więc spróbować! Probatum est!

Alfa.

Dumka stęsknionej.

Nie za wolno.

Któ-reż cię stro-ny po - dzia-ły, cze-muż cię wi-dzieć nie zdo-łam?
Po co te gó-ry i ska-ły, z których da-rem-nie cię wo-łam?
Po co gó-ry, po co ska-ły? by mi cie - - bie za - - sta - wia-ły! Po co gó-ry, po co skały? by mi cie-bie za-sta-wia-ły!



CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

— Kochany panie rotmistrzu!... wy wiecie, że ja do was przywiązany jakby do ojca rodzonego. Wasz dom był zawsze dla mnie jakby dom rodzinny... Ja was i waszych z serca kocham... i radbym zawsze wasz dom jakby swój własny uważać. I gdyby rząd przekonać, że wasz dom jest rodziną dla mnie, który jestem urzędnikiem carskim, to mimo wszystkich donosów spiskowych, was by miał rząd za zupełnie czystego.

Tu się sprawnik chwilę zatrzymał, podniósł z miejsca i pomału zbliżył się do rotmistrza, a dobierając postawy i głosu jak najuroczystszego, przystąpił do ostatniego słowa, na które rotmistrz czekał nie bez zadziwienia.

— Ja waszą wnuczkę, waszą Kostunię znam od dziecka prawie!... poczciwe to, dobre dziewczę!... a jej Bohu śliczne!... przekrasne! Ja was, panie rotmistrzu... proszę o rękę waszej wnuczki Kostusi!... Ja ją bardzo i od dawna kocham.

Na te słowa rotmistrz zadrżał cały, ręce mu się w pięść ścisnęły, a z oczów przez jednę chwilę strzelił błyskawicą oburzenia i gniewu; usta jakby mu się otwarły, jakby mu z piersi miało wylecieć słowo piorunne. To szczęście, że sprawnik, któremu zdawało się być przyzwoitem w tej chwili spuścić oczy pokornie, nie spostrzegł ani zmiany twarzy, ani ócz wyrazu. Jak wyżej już powiedziałem, w rotmistrzu mimo lat osiemdziesięciu, do których się już zbliżał, była wielka siła duszy. Spojrzał w górę, spojrzał na ściany obie jakby w niebie, jakby w ojczystej przeszłości szukał siły i wytrwałości, i już się twarz jego wypogodziła i zdołał nawet wywołać na usta swój zwykły uśmiech spokojny.

— Więc wy, Pawle Onufryjewiczu, kochacie moją Kostusię? — przemówił głosem zwykłym.

— Od dawna!... i z całego serca!...

Gdy to mówił, fałszywy głos sprawnika szczerszym nawet zdawał się odzywać dźwiękiem.

— Ja się od dawna starałem jej przypodobać!... jabym dla ślicznej waszej Kostusi wszystko był w stanie poświęcić! Jak ona zostanie moją żoną, matką moich dzieci!... ja będę wam synem i potrafię was obronić jak ojca naprzeciw wszelkim szpiegom i donosicielom!... wam włos z głowy nie spadnie! Paweł Onufryjewicz nie głupi, wie co i jak trzeba robić!... Dajcie mi waszą Kostusię. — Nic nie mówicie — dodał po chwili. — Nie chcecie mi dać waszej Kostusi?

W głosie mówiącego przebijał się ten sam co pierwej dyszkant fałszywy.

— Ja tego nie powiedziałem, panie Pawle Onufryjewiczu. Znacie, że nie lubię na wiatr gadać. Nie spodziewałem się waszego oświadczenia się i myślałem chwilę nad odpowiedzią...

— A ta odpowiedź?...

— Wiecie dobrze zdanie moje co do różnicy stanów!... Grzeszyliśmy długo na tym punkcie i odpokutowali nie mało. Ja nie wierzę w żadną różnicę.

— Macie wielki rozum. A potem, ja zostawszy mężem Kostusi... będę umiał korzystać...

Tu się trochę zająknął pan sprawnik.

— Z mojego majątku! — podpowiedział mu rotmistrz spokojnie.

— I mogę się przenieść do guberskiego miasta, zostanę sowietnikiem... do osobnych poruczeń może... A jak Bóg dopomoże...

— Dla czego by nie miał dopomódz — powiedział na to rotmistrz.

Tego jednego sarkazmu pozwolił sobie, ale ten tak mu się udał gładko, że go się sprawnik, tak przezorny i tak przebiegły nie dorozumiał wcale.

— Mogę z czasem zostać...

— Gubernatorem!...

— Dla czegóż nie! — podchwycił ucieszony sprawnik. — Więc mi dacie waszą wnuczkę?...

— Ja tedy dawno sobie powiedziałem, że moja Kostusia za tego pójdzie, kogo sobie sama obierze. Moja biedna Marysia, jej matka, była nieszczęśliwa za stryjecznym bratem markiza, którego ja w chwili jakiejś nierozwagi szalonej sam wybrałem. Niechże wnuczka przynajmniej będzie szczęśliwszą od córki mojej; niech sobie sama wybiera.

— A zatem...

— Idźcie do Kostusi i oświadczcie się jej!...

— Mogę się jej oświadczyć?...

— Możecie!... i powiedzcie jej nawet, że czynicie to za pozwoleniem i za wiadomością moją.

— Ona mi nie odmówi! — zawołał radośnie pan sprawnik i nie mógł wytrzymać, by nie podskoczyć z tą uciechą nizką, ludziom podłym właściwą.

— Nie odmówi! — przemówił rotmistrz mimowolnie, ale tak cicho, że sprawnik ledwo tylko słowa dosłyszał, nie dorozumiawszy się znaczenia.

— Ja wiem, że nie odmówi!... bo...

Tu w zapomnieniu radosnem chciał może coś jeszcze powiedzieć, ale się nagle pięścią w gębę uderzył i dodał tylko:

— Idę do Kostusi!

— Idźcie z Bogiem!...

Paweł Onufryjewicz wyleciał cały w susach.

A gdy już wyszedł, i kroki jego na drugą stronę domu zwrócone przebrzmiały, stary rotmistrz odetchnął, wyprostował się i wykrzyknął mimowolnie:

— Z djabłem idź!... z djabłem łotrze Moskalu!... złodzieju!...

Przyskoczył do okna, otworzył je na oścież, jakby mu po tej dusznej rozmowie powietrza zabrakło.

— Dzięki ci Boże, żem wytrzymał, żem nie wybuchł i w proch nie zgniótł tego niegodziwca. Ja go nie znałem — mówił dalej sam do siebie, ale przytłumionym głosem — nie znałem dotąd. Miałem go za głupca tylko, przedajnego jak każdy z tych czynowników moskiewskich!... ale on mnie oszukał. Kostusi mu się zachciało, mego oczka w głowie, mego brylanta najczystszej wody! A to szelma! I majątku mu się zachciało; bo ja nie wierzę, aby się on mógł szczerze kochać... Moja Kostusia, żoną Moskala!...

— I powiedział — dodał po chwili coraz niecierpliwiej biegając po salce — że ona mu nie odmówi. Co on miał na myśli? Czyż ja mojej Kostusi nie znam!... już ona będzie umiała mu odpowiedzieć, i pan sprawnik pójdzie z kwitkiem i długim nosem. Szelma!... łotr!... aż mnie ręce świerzbią.

Tu się nagle zatrzymał i uderzył w czoło.

— Ale on wie coś, wie wszystko prawie, o ile mogłem zrozumieć z słów jego. Kto nas mógł zdradzić?... może ma tylko posądzenie, bo przecież prócz nas nikt nic wiedzieć nie może. Na każdy przypadek trzeba się mieć na ostrożności. Muszę ze Stasiem pogadać.

To rzekłszy, przystąpił do stołu i zadzwonił. Jeszcze się dźwięk dzwonka dobrze rozejść nie mógł, kiedy wbiegł już sługa poufny rotmistrza, ale tak jakoś prędko, że mimowolnie zadziwił się pan Kazimierz.

— Byłeś już pod drzwiami!... czy miałeś mi co donieść Piotrze!...

— Ja!... ja nie byłem pod drzwiami — odpowiedział Piotr co prędzej. — Ja myślałem widząc pana sprawnika jak poszedł do panny — dodał i urwał.

Rotmistrz popatrzył na niego przez chwilę z niejakiem zadziwieniem, ale porwany innemi myślami, zwrócił się do niego i rzekł co prędzej:

— Poszlij kogo do Gradowiec po pana Stanisława.

— Po pana Wydrę!

— Ale prędzej!

Po wyjściu Piotra znowu przemknęła przez głowę starego rotmistrza myśl jakby pół posądzenia.

— Piotr może — mruknął sam do siebie. — Przez tego łotra Moskala same głupie myśli przychodzą mi do głowy. Piotr jest wierny, wychowałem go, wykupiłem od wojska!... tfu!...

Splunął poczciwy rotmistrz i zamyślił się na nowo o sprawach ważniejszych.

My zaś teraz za pozwoleniem szanownych czytelników przeniesiem się na drugą stronę do wnuczki starego rotmistrza, aby poznać piękną Konstancyą i podsłuchać jej rozmowę z panem sprawnikiem.

IV.

Pospieszmy na drugą stronę dworu zaskalskiego, zamieszkałą przez Kostusię i ciocię, zanim tam przyjdzie rozromansowany sprawnik, byśmy obie panie pierwej poznali.

I po tej stronie domu, chociaż obszerniejszej, bo od ogrodu przytykała do ślicznego ogrodowego przybudowania, z otwartą na ogród galeryą i obszerną oranżeryą, przystrojenie wewnętrzne po większej części nie było nowożytne. Sprzęty były wykwintniejsze, ale nie było owych rzniętych i dętych a krótkotrwałych na oko jeno wyrachowanych sprzęcików, w których zwykle skórka wyprawy niewarta. Panowała tam wytworność prawdziwej wartości, trwałych i okazałych wyrobów drzewa i obić kosztowniejszych, w których przeważała prawdziwa wygoda i ten smak poważny o formach okazałych, jakiemi się odznaczał koniec wieku osiemnastego. Wdzięku, świeżości i młodości niejako dodawały dobrze dobrane i miłe oku barwy, a mianowicie kwiaty, których tam wszędzie było pełno. Jedyną nowością wieku naszego, był w salonie głównym fortepian doskonały francuzki, przy którym zastajemy siedzącą Kostusię w sukience białej. Ręce jej spoczywały na klawiszach, drżących jeszcze ostatnim akordem, a twarz jej i spojrzenie zwrócone były do cioci, przechadzającej się z nadzwyczajną żywością w rannym fałdzistym szarafanie o barwach najrozmaitszych i najjaskrawszych.

Ciocia Genowefa czyli ciocia Giefia, jak ją w okolicy i w całym domu nazywano, była to sobie pani słuszna, okazała, kręcąca się ruchem wiecznego niepokoju, którego siedziba była nietylko w jej rękach i nogach, ale i w głowie, bezustannie zmiennemi myślami zaprzątnionej. O jej wieku tyle tylko umiałbym powiedzieć, że inaczej o nim mówiła metryka, a inaczej wcale sama ciocia utrzymywała. Metryka mówiła o latach pięćdziesięciu z czubkiem nawet. Ciocia przyznawała się do trzydziestki, a w samym środku stało pozorne wyglądanie, na kunszcie toaletowym ugruntowane.

Wogóle usposobienie całe cioci było usposobieniem staropanieńskiem. Miała bowiem wszystkie narowy, fantazye, humor starej panny, aż do żółtych chusteczek nawet, które nosiła chętnie dla lepszego odbijania płci ciemno-żółto-wątrobianej. Wydawała się starą panną, chociaż była wdową najzupełniejszą, i to wdową po trzech mężach, których pamięć, ciągle przez nią sławiona, nie przeszkadzała jej wzdychać za czwartym mężem. Po mężu ostatnim zwała się Wieluńską, ale kazała się zawsze nazywać po wtórym mężu, szambelanową. Owdowiawszy od lat już blizko dwudziestu, bo miała — nie wiem, jak to nazwać — szczęście czy nieszczęście, talent czy przeznaczenie, że wszyscy trzej mężowie zmierali po krótkiem bardzo pożyciu małżeńskiem, osiadła w Zaskalu u pana rotmistrza, którego żony była daleką krewną. Nie było tygodnia, a przynajmniej miesiąca, w którymby nie powtarzała:

— Muszę wrócić do siebie.

To do siebie stanowiło dziewięć dymów, jakie po ostatnim mężu posiadała na Polesiu, niedaleko Owrucza. Te dziewięć dymów, przypadłych jej z eksdywizyi większego majątku, rozszarpanego przez kredytorów, były już także obciążone hypotekami, że ze wszystkich dymów, ledwie dym, ale prawdziwy dym jej własnością pozostał.

— Lecz żal mi Kostusi, którą wychowałam — dodawała zwykle.

To wychowanie było po większej części figurą retoryczną, bo pan Kazimierz wziąwszy ciocię, nie mającą utrzymania, do siebie, jak najmocniej pilnował, aby się nie wdawała do wychowania Kostusi, którem kierował po większej części sam z pomocą guwernantki Polki, panny Franciszki, pełnej zalet serca i głowy, którą mu się udało w Warszawie wynaleźć i która przed rokiem dopiero umarła.

Wychowanie szambelanowej ograniczało się tem, że od roku, mianowicie po śmierci guwernantki powtarzała jej na dzień razy ze trzydzieści, że cały rozum panny zależy na tem, aby się podobać i głupim mężczyznom głowy zawracać.

— Ja mam na sobie dowód — dodawała tu zawsze — za mną szaleli wszyscy i niech będzie między nami, szaleją dotąd.

Po tej przemowie następowały dzieje bajeczne ciocinego życia, niknące w mgle wyobraźni.

— Celem panny ostatnim - mówiła dalej — jest pójść zamąż dobrze.

Dobrze zaś pójść zamąż tłomaczyła mężem bogatym, dobrze urodzonym i salonowym. Salonowość, to był u szambelanowej szczyt wszelkiej doskonałości.

I w tej chwili właśnie, gdy wchodzimy do salonu, szambelanowa tak się rozgadała o salonowości, szastając się po pokoju, że nawet zapomniała, że już dawno minęła godzina, w której zwykła zasiadać do kilkugodzinnej toalety. Dawno zaprawdę się jej nie trafiło, by o tej godzinie była jeszcze w papilotach z żółto-chusteczkową przewiązką.

— Człowiek salonowy, uważasz moja Kostusiu, jest człowiek europejski, a na tem głównie zależy.

— Ależ, moja ciociu, cóż mi tam do człowieka europejskiego — odpowiedziała Kostusia z pustym uśmiechem i swa-

wolnem spojrzeniem — jam nie europejska dziewczyna, ja polska dziewczyna.

— To są staroświeckie pryncypia.

— A ciocia nie Polka?

— Ja jestem europejska kobieta, ja do salonu należę.

— A ja nie... jak ciocię kocham... ani troszkę nie należę do salonu.

— Bredzisz, *mon efant!*... Panna Ketteler z Gradowskiej urodzona, z majątkiem kochanego rotmistrza, który, niech będzie między nami, ma grube kapitały. Kostusiu, jesteś sama *créme* salonu. I dlatego ci powiadam, że z pomiędzy najsalonowszych najwięcej salonowym jest Artur!

— Mój kuzynek, Artur... — przemówiła z pewnym uśmiechem Kostusia — i uderzyła w klawisze dosyć gwałtownym akordem. — Masz cirociu słuszność, to europejski człowiek.

— Był kamerjunkrem!... żył na świecie petersburskim... Car go odznaczał... i był ulubieńcem Adlerbergów!... jest jedynakiem i po śmierci marszałka będzie ogromnie bogaty, bo marszałek to finansowa głowa!...

— Cóż mnie do jego majątku!...

— On ciebie kocha.

— Artur kocha!... kocha!... kocha!...

Zaczęła żartobliwie, a powtarzając to słowo, dla młodego serca tak wielkie mające znaczenie, wpadła w niejakie zamyślenie.

— Kocha!... — powtórzyła i klawisz lekko palcem poruszony, zadrżał tonem niepewnym, któremu towarzyszyło w pół przytłumione westchnienie.

— A przecież dla ciebie od kilku miesięcy przybrał nawet kontusz polski.

— A serce czy wsadził sobie w piersi polskie?

— Wszystko w nim salonowe...

— I serce europejskie — przerwała znowu Kostusia i zwróciwszy na ciocię oczy, błyszczące uroczym jakiejś wyższej myśli wyrazem, dobyła z klawiszów kilka akordów Szopenowskiego mazura.

Śliczną była w tej chwili Kostusia. Tyle już jest po powieściach opisanych pięknych bohaterek, i ja sam tyle ich już opisałem, że się nie myślę w długie wdawać opisy. Są i dziś śliczne twarze, ale chcąc opisać twarz Kostusi, a przedewszystkiem cały wdzięk i wyraz jej twarzy, odwołać mi się chyba przyjdzie do wspomnień starszych pokoleń. Przed laty trzydziestu, ba nawet przed czterdziestu, zdybać można było częściej podobne twarze po dworkach szlacheckich naszych. Nie regularność rysów, nie jakaś tam klasyczność kształtów, nie przezroczystość płci, której w opisach pożyczyliśmy od francuzkich romansistów, stanowiły ten cudny urok, pełen prostoty, słodyczy, pustoty i myśli razem, dobroci i energii razem, jakim się odznacza i pociąga serce polskie dziewczę... cudne gdy się śmieje, jeszcze cudniejsze, gdy płacze!... a najcudniejsze, gdy się modli, a z serca, z oczów i z ust leje się modlitwa za rodzinę i kraj kochany!

Ten to właśnie wyraz, niczem nieokreślony — to też go martwe nie opisze słowo — bił jasno i promieniście z przeciągłej nieco twarzy pięknej Kostusi. Usta były może za wielkie dla wybrednego powieściopisarza, który swe bohaterki obdarza łaskawie małym rumianych ust rąbkiem; ale z tych ust strzelał wyraz poczciwej anielskiej serdeczności, co nie przeszkadzało wcale, że gdy tego było potrzeba, uśmiech ulatywał zastąpiony wyrazem silnej i niezłomnej, bo w czystość własnego serca i własnej myśli zaufanej woli. Nad czołem wypukłem, dość przestronnem, by się po niem myśl przechodziła szlachetna, ciemne włosy, gładko uczesane, układały się wreszcie w dwa plecione warkocze, jakby koroną wieńczące dziewiczą głowę. A oczy miała tej barwy niepewnej zmiennej, wedle bijącego w nie światła od szafiru fiołkowego, aż do ciemnych promieni czarnego brylantu. We łzach rozczulenia tonące miały w rzeczy samej skromność fiołka, ale wyższem uczuciem podniesione miały błysk i hart brylantu.

Taka była śliczna Kostusia, poczciwe dziecię ziemi polskiej, w myśli polskiej, w uczuciu polskiem, w polskiej wierze i gotowości do poświęceń, w polskiej pieśni i polskiej modlitwie wychowane.

Są, żyją na ziemi naszej takie Polki!... i to naszego rodu właściwość i ducha naszego hart żylasty, że nas chowa Polka matka!... i Polki bogdanki serce ku nam bije!... Gdyby było możliwem, żeby ostatni zaginął Polak... jeszczeby Polka została na ziemi naszej...

— To jest mąż dla ciebie! — zakonkludowała szambelanowa.

Kostusia nic nie odpowiedziała, po klawiszach tylko sypnęła czystemi tonami, gdyby perlista kaskada drobnych kropelek.

W tejże chwili wbiegła dziewczynka, zgrabnie z wiejska ubrana służąca.

— Pan sprawnik chce służyć panience.

— Ach! — krzyknęła przeraźliwie i piskliwie szambelanowa, porywając się za papiloty.

I wybiegła przerażona szambelanowa do zwierciadła toaletowego, bo sprawnik choć Moskal, był kawalerem, a kawalerowie byle tylko mogli wejść na salon, byli wedle cioci salonowcami, a więc europejskimi.

— Sprawnik do mnie? — zapytała Kostusia z niejakiém zdziwieniem — może się mylisz, Oleńko?

— Proszę panienki, powiedział, że go pan rotmistrz przysyła.

— Dziadzio przysyła? — przemówiła półgłosem do siebie. — Prosić! — dodała głośniej.

V.

— Paweł Onufryjewicz, wchodząc do Konstancyi, przybrał wyraz uśmiechnięty; w ruchach swych miał coś skaczącego; oczy przymrużał do pół przymilania, a do pół pustoty. Przeważał mimo to zwykły ich wyraz przebiegłej przezorności, co go w tej chwili robiło wielce podobnym do skradającego się kota. Wszakże nawet idąc przez sień, na pazury moskiewskiego urzędnika wsadził salonowe rękawiczki.

Konstancya rzuciła na niego wzrokiem przelotnym i nie zastanawiała się wcale nad jego powierzchownym wyrazem. Znając go od dawna, widziała w nim tylko urzędnika; pogardzała osobą, a nienawidziła jako Moskala. Bliższej z nim nie miała styczności, ani się też po prawdzie spodziewała, by ją kiedykolwiek mieć z nim mogła. W tej chwili przeważało w niej zdziwienie do pół ciekawości posunięte, bo w rzeczy samej zrozumieć nie mogła, co go do niej przyprowadzało.

Na mnogie ukłony pana sprawnika i jego uśmiechy zalotne, któremi starał się zwrócić jej uwagę, patrzała zupełnie obojętnie, nie wiedząc prawie, a co najpewniej, nie rozumiejąc wcale.

— Dziadunio dobrodziej przysłał mnie do panny Konstancyi — przemówił wreszcie, szczerząc zęby, które miał potężne i ostre, prawdziwe moskiewskie zęby.

Konstancya nic nie odpowiedziała, czekając na dalszą przemowę.

— Dzień dobry pannie Konstancyi — mówił dalej pan sprawnik, który nie wiedział po prawdzie jak zacząć, a zimne i spokojne wejrzenie Kostusi mięszało go mimowolnie.

Więc dla łepszego kontynansu obliznąwszy się, co także należało do obyczajów moskiewskich pana sprawnika, wyciągnął rękę, aby schwycić białą, instyktownie usuwającą się rączkę Kostuni.

— Dzień dobry! — powtórzył i mimo oporu uchwycił za białą rączkę i obdarzył ją pocałunkiem głośnym.

— Mimowolne obrzydzenie ozwało się w dziewczynie i mimowolnie obtarła ucałowaną rękę o białą sukienkę.

— Dzień dobry! — powiedział po raz trzeci, uśmiechnął się i oblizał jeszcze bardziej.

W tej chwili wydał się Kostuni tak bardzo komicznym, że w młodej dziewczynie przeważyła pustota. Zaśmiała się szczerze i przemówiła:

— Więc dziadzio przysłał pana, aby mnie dzień dobry powiedzieć?

— To, z czem dziadunio przysłał mnie do pani, jest ważne.

— Słucham pana.

Paweł Onufryjewicz znalazł, że w tem miejscu najstosowniej będzie umieścić westchnienie. To też westchnął jak najpotężniej.

— Słucham pana — powtórzyła Kostusia.

Paweł Onufryjewicz powtórzył westchnienie jeszcze potężniejsze i donioślejsze.

Scena w rzeczy samej była komiczna, pobudzająca do śmiechu, a przecież mimowolnie ozwał się w piersi Kostuni jakiś niepokój.

— Cóż dziadunio kazał mi powiedzieć?

— Właściwie dziadunio upoważnił mnie... pozwolił mi... Ale to nie tak łatwo powiedzieć... bo widzi panna Konstancya...

Konstancya usunęła się mimowolnie przed wzrokiem, jaki w tej chwili wystrzelił z oczów sprawnika.

Zatrzymał się chwilę, potem zbierając cały zasób bezwstydności, którą go natura obdarzyła, zbliżył się do Kostuni szybko, porwał za rękę i ściskając ją, nie chciał już puścić.

— Bo widzi panna Konstancya... ja... was kocham!... śliczna Konstancyo!

Kostunia jeszcze nie zrozumiała. Jeszcze się jej prawda cała nie wyjaśniła.... Spojrzała na mówiącego z nieudanem zdumieniem.

— Tak, panno Konstancyo. Ja was znam od tylego dziecka! I Paweł Onufryjewicz patrzał się zawsze z upodobaniem na śliczną dziewczynkę, jak w jego oczach rosła i rosła jakby na drożdżach. A gdyście podrośli, i taka z was stała się hoża i śliczna dziewczyna; taka krasna jak cudo jakie, taka krasawica! Jej Bohu! żebyście mogli na carskich stanąć pokojach między najpiękniejszemi baryniami!... tak ja was ukochał!... przekrasna Kostuniu!... i...

A przyciągnąwszy ją silnie ku sobie, dodał z iskrzącym wzrokiem i wyrazem namiętnym:

— Ja was kocham!... tak, ja was kocham!...

W panu sprawniku przemogła w tej chwili zwierzęcość zmysłowa, nad zwierzęcą dzikością moskiewskiego urzędnika. Jemu samemu się zdawało, że kocha Kostunię namiętną miłością...

Silnym ruchem wyrwała rękę i cofnęła się po za krzesło, o które się lekko oparła. Zmierzyła sprawnika od stóp do głowy, wyrazem takiej zimnej pogardy, że aż zębami zazgrzytał Paweł Onufryjewicz.

— Czy pan może co innego kochać prócz cara i pieniędzy?

— Tak, panno Konstancyo! mimo tej pogardy, jaką mi okazujesz, kocham was!

— Dziękuję panu — odrzekła szyderczo — ale mojej wzajemności mieć pan nie będziesz.

— Kocham i proszę was o rękę — wyrzekł kapitan-sprawnik i zacisnął zęby.

— Więcej pan nie masz mi nic do powiedzenia?

— Proszę o waszą rękę...

— Żegnam pana! — odrzekła z dumnym, pogardliwym ukłonem i zwróciła się do odejścia...

— Ja tu w imieniu dziadka waszego przychodzę... który mnie do tego kroku upoważnił.

— Mój dziadzio wiedział dobrze, co ja panu odpowiem, i dlatego pozwolił panu przyjść z takiem oświadczeniem, które że się panu wyrwało... wyznam szczerze... dziwię się mocno.

Mówiąc to, nie odwróciła się nawet do niego i szła dalej ku drzwiom krokiem dumnym, królewskim naprawdę. Cudnie była piękną w tej chwili, ożywiona rumieńcem oburzenia, które blask jej oczów do błyskawic podobnem czyniło.

— A przecież chcecie czy nie chcecie, będziecie moją żoną! — wykrzyknął sprawnik, ledwie już zdolny powstrzymać wściekły gniew, który nim miotał.

Konstancya nie odwróciła się i na to; zaśmiała się tylko śmiechem najwyższego szyderstwa i rzekła:

— Każcie się kurować, panie sprawniku!

— Tak to jest! wy każecie się mnie kurować!... Ja cię tu zaraz dumna Laszko wykuruję z twego śmiechu... i z twej dumy, aż jedno i drugie zmienicie w płacz i pokorę.

W piersiach dziewczyny zadrżał ból, ale go niczem na zewnątrz nie zdradziła i wolnym idąc krokiem, już była koło drzwi.

— Albo będziecie moją żoną, albo stary rotmistrz pójdzie na Sybir!... w sołdaty!... w katorzne roboty!... słyszycie dumna Laszko?!...

Głos mówiącego drżał złością; zęby długie i ostre wysterczały z ust otwartych jak u zwierza dzikiego, pożreć ofiarę gotowego. I tylko zaśmiał się — już nie jak zwierzę... i nie jak człowiek... zaśmiał się jak Moskal prawdziwy.

Kostusia silniejsze uczuła drżenie, bo w tej chwili zaczęła wszystko rozumieć. I czuła jak rumieniec ustępuje z twarzy, czuła jak zimno dreszczu i bladość przestrachu rozchodzą się po jej twarzy. Ale Kostusia miała serce dzielne, polskiej niewiasty miała serce. Pomału obróciła się do mówiącego i jeszcze więcej pogardy błysnęło z jej oczów, gdy rzekła do sprawnika:

— Groźbą! strachem chcesz pan zniewalać serca!... zdobywać miłość i żonę!... I to się panu nie uda!

Mimo całej demoralizacyi, jaką przesiąkła była urzędnicza dusza moskiewskiego czynownika, postawa i twarz Konstancyi, mające coś w sobie wyższego, zrobiły na nim niemałe wrażenie. Mimowolnie mówił łagodniejszym głosem:

— Mnie was żal panno Konstancyo... To nie są próżne groźby i nie próżne strachy...

I jął opowiadać, że los rotmistrza ma w ręku swoim. Nie wdając się w bliższe szczegóły, to samo prawie jej powiedział, czem przed godziną chciał zniewolić starego rotmistrza. Konstancya z zimną na pozór twarzą słuchała, ale słuchając rozważała dobrze całe położenie swoje i dziadka, którego całą czułością kochała... Gdy już skończył i tryumfującym spojrzał na nią wzrokiem, Konstancya nie zmieniwszy dumnej swej postawy, odpowiedziała mu głosem na pozór niezmienionym zupełnie, chociaż serce jej tłukło się o piersi konwulsyjnym a bolesnym ruchem:

— Panie sprawniku!... ja się panu dziwię, że pan pragniesz mnie za żonę! Pan sam siebie łudzić musisz, jeżeli nie żartujesz ze mnie...

— Jej Bohu!...

— Ja nie dla Pana żona! Ja bym pana!...

Tu mimowolnie cisnęło się jej słowo zawziętej nienawiści, a z oczów przez chwilę wystrzelił wyraz okropny!...

— Cóżbyś pani?...

— Nieszczęśliwym uczyniła...

— Ale!...

— Milcz pan! Ja pana znam lepiej!... panu nie idzie o mnie!... panu idzie o mój majątek!...

— Jej Boh!... pożałujtie!...

— Proszę mi nie przerywać!... Panu idzie o mój majątek!... a co do tego...

— A co do tego? — powtórzył mimowolnie sprawnik, któremu Konstancya na prawdę imponowała.

— A co do tego... to jest rzecz targu!...

— Tar... gu! — wybełkotał Paweł Onufryjewicz, który sam nie wiedział co ma powiedzieć...

— Zastanów się nad tem!... A teraz bądź pan zdrów.

— To rzekłszy, skłoniła głowę prawdziwie monarszym ruchem. Paweł Onufryjewicz, jak się sam nieraz potem przyznawał — tak był zbity z terminu, że prawie języka w gębie zapomniał. Mruknął coś tylko niezrozumiałego i wyszedł z pokoju... W sieniach przemknął się Piotr koło niego i słów kilka szepnął mu do ucha. Przed gankiem stała bryczka zaprzęgnięta; sprawnik skoczył do niej i dopiero jadąc jął w duszy i pół głośno miotać przekleństwami i groźbami, wyjętemi z najbogatszego w tej mierze słownika moskiewskiego.

Konstancya po odejściu sprawnika stała przez chwilę na jednem miejscu, jakby do niego przykuta. Opuściły ją siły i łzami zalały się oczy. Załamała ręce, bo jej żywo stanęło przed oczy całe okropne położenie. Chciała iść do dziadka, lecz nagle nowa jakaś myśl przemknęła jej przez głowę, oczy żywszym uderzyły blaskiem, wbiegła do sypialni, porwała kapelusz na głowę i wybiegła do ogrodu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Złote myśli.

Z jednej i drugiej omyłki spostrzeżonej nie sądź o poczciwości człowieka, bo nie masz żadnego człowieka bez wady.

Dobrodziejstwa póty są miłe, póki się z nich wypłacić można, lecz kiedy przebrały miarę, niewdzięczność w zysku odnoszą. *Tacyt.*

Niech się pyszny w moc swą wzmoże,
Próżno w myślach marzy dumnie,
Ja bogatszy w mej pokorze,
Gdy się Pan mój skłoni ku mnie.

Stefan Witwicki.

Czas odkrywa wszystko, i każdemu miejsce właściwe wyznacza. *Ignacy Potocki.*

W szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi nie uwierzy? *Zygmunt Krasiński.*





Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ DRUGI.

Nieszczęśliwy ojciec zbliżył się do lorda Chesleya i położył mu rękę na ramieniu.

— Janina opowiedziała panu wszystko! — zaczął drżącym z wzruszenia głosem. — Helenka kocha cię oddawna, i chciałaby w godzinie śmierci należeć do ciebie. Biedna moja córka! Ale pan wypełnisz jej życzenie?

Artur milczał.

Oczy sir Johna wyrażały tak bezgraniczną rozpacz, że Janina odwróciła się.

— Nie możesz pan odmawiać, — mówił lord dalej, — byłoby to okrucieństwem z twojej strony. Ciężką z sobą stoczyłem walkę, zanim się przyzwyczaiłem do utracenia mego jedynego dziecka, ale nie mógłbym znieść tej myśli, że przed śmiercią doznała jeszcze tak gorzkiego rozczarowania. Jestem bogaty, i z radością oddałbym cały mój majątek, gdybyś pan zechciał osłodzić ostatnie chwile życia mojemu dziecku jedynemu. Pomóż mi prosić, Janiu, sir Artur nie powinien nam odmawiać!

— Milady prosi milorda, — dał się w tej chwili słyszeć głos lokaja w otwartych drzwiach.

Sir John wyszedł natychmiast.

Błagania przygnębionego ojca przepełniły serce Janiny żalem i litością. Wszelka zazdrość i wszelki ból znikły, a gdy została teraz sama z narzeczonym, jaśniała piękna twarz jej wyrazem zwycięzko ukończonej wewnętrznej walki.

— Przystaniesz na to, ukochany, — rzekła spokojnie. — Ja, która kiedyś będę żoną twoją, proszę cię, wypełnij życzenie Helenki. Kocham ją z całego serca, i myśl, że staliśmy się przyczyną ostatniego jej zmartwienia, zatrułaby mi całe moje życie. Cóż nam to szkodzi, że przez kilka godzin byłeś jej mężem? Czy myślisz, że żądałabym tego, gdybym nie wiedziała, że czynisz to tylko dlatego, aby ulżyć jej śmierci? Wszakże jutro będziesz już znowu do mnie należeć....

— Dosyć, — przerwał Artur. — Nie potrzebujesz mnie już więcej prosić. Pod żadnym warunkiem nie chciałbym, aby cień jaki padł na twoje życie. Uczynię to, czego żądasz, ale nie zapominaj nigdy, że ty sama zmuszasz mnie do tego.

Gdy po kilku minutach wrócił sir John, i gdy usłyszał, że Artur zgadza się na wszystko, ujął w gorącym uścisku obiedwie ręce młodzieńca i rzekł ze łzami:

— Dziękować panu nie mogę, ale będę się modlił i prosił Boga, aby ci wynagrodził twoją szlachetność. Moje biedne dziecko dozna jeszcze ostatniego szczęścia — ostatnie jej życzenie będzie spełnione. Posłałem już po księdza, skoro przyjdzie, odbędzie się wasz ślub, a pan zostaniesz już przy niej aż do..... aż do — ostatniej chwili.

Potem udał się do pokoju chorej, podczas kiedy Janina i Artur szli wolno za nim. Lord Chesley nie był zadowolonym z roli, jaką miał odegrać; rozum jego, honor, a nadewszystko gorąca miłość dla narzeczonej — wszystko to oburzało się na myśl tego, co przyrzekł, teraz jednak niczego już zmienić nie mógł. Czy miał zwiększyć jeszcze rozpacz nieszczęśliwego ojca, zmartwić umierającą i oprzeć się prośbom Janiny? Zresztą chodziło tu rzeczywiście tylko o godziny — więc złe nie było jeszcze tak wielkiem. Spokojniejszy już i pewny siebie wszedł do pokoju Helenki. Nigdy w życiu nie przedstawił się oczom jego widok tak wzruszający, jak teraz. Helenka leżała cicha i biała na jedwabnych poduszkach, złote włosy spadały na jasne czoło i na ramiona, a ciemne, szafirowe oczy błyszczały gorączkowo.

Gdy ujrzała Artura zarumieniła się lekko i drżącą rękę wyciągnęła na powitanie.

— Powiedzieli ci, że umrę? — szepnęła cichutko.

Artur pochylił się ku niej. Z serca jego znikła wszelka niechęć do ślicznej, chorej dziewczynki.

— Tak, Helenko, — rzekł, — wiem o wszystkiem.

— Zadziwiłeś się, — mówiła Helenka dalej, — gdy usłyszałeś o mojej miłości? Nie zdradziłam nigdy moich uczuć, ale muszę umierać, i dlatego chcę, abyś wiedział, że kocham cię nadewszystko w świecie!

— Biedaczko moja, — szepnął Artur serdecznie, całując jej białą, maleńką rączkę.

Chora uśmiechnęła się.

— Tak, to doprawdy dziwnie, — dodała jeszcze. — Kocham cię, a jednak muszę cię opuścić. A ty dasz mi twoją rękę i twoje nazwisko, i w niebie, gdzie się wszyscy spotykają, którzy się tutaj kochali, tam i my znowu będziemy do siebie należeć.

I jakże tu rozproszyć to urocze marzenie! Niebiański uśmiech szczęścia opromienił twarz dzieweczki.

— Ale nie zapominaj o mnie, Arturze, — prosiła.

— Nie zapomnę, — odrzekł, ochrypłym z wzruszenia głosem.

— Nie chętnie umieram tak młodo, mianowicie teraz. gdy życie byłoby dla mnie tak pięknem i słonecznem, ale gdybym była zdrową, nie byłabym nigdy miała odwagi wyznania ci mojej miłości. Ach, Arturze, jakże ci wdzięczną jestem za twoją dobroć! Trzymaj mocno moją rękę, abym nie umarła zanim nas ksiądz na zawsze połączy — o nie — nie na zawsze — na kilka godzin tylko!

Po tych słowach umilkła zmęczona i leżała teraz bez ruchu, tylko ręce jej obejmowały dłoń Artura. Po upływie dwóch godzin, z nadejściem nocy, przybył nareszcie ksiądz. Uznał on za słuszne życzenie chorej i zabrał się natychmiast do wypełnienia swego obowiązku. Prosił Janiny o jaki pierścionek, a ponieważ żadnego stósownego pod ręką nie było, przeto młoda dziewczyna ściągnęła z palca skromną złotą obrączkę, dar narzeczonego, i podała ją księdzu.

Gdy się zbliżono do łóżka, otworzyła chora oczy.

— Więc teraz odbędzie się nasz ślub! — szepnęła. — Janiu, zostań przy mnie! Oh, papo, jakże jestem szczęśliwą!

Janina podniosła kuzynkę i przycisnęła usta do gorącego jej czoła.

Pierwsze słowa, jakie ksiądz wymówił, brzmiały w uszach Janiny, jak wyrok jej śmierci. Artur Chesley i Helena Marstone byli złączeni węzłem małżeńskim — chociaż prawdopodobnie na kilka tylko godzin.

— Mój sen ziszczony, — rzekła Helenka. — Teraz chcę umrzeć w objęciach Artura!

I gdy młody małżonek ukląkł przy łóżku, oparła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy. Przytomność zdawała się opuszczać ją — chwilami mówiła o jasnych aniołach, czekających na nią, to znowu zrywała się, chwytała ręce Artura, prosząc, aby jej nie opuszczał, i zapewniała go o swej miłości.

— Kocham cię! — szeptała — kocham nad wszystko w świecie!

Ciężkie westchnienia Artura jedyną na to były odpowiedzią.

Północ minęła, a stan chorej nie zmieniał się ani na chwilę. Nagle głowa Helenki opadła na poduszki, a ręce wyciągnęły się kurczowo.

— Ona umiera! — jękła Janina Burton.

— Helenko! — zawołał Artur ze łzami w oczach, pochylając się ku niej.

Lekkie poruszenie ust dowodziło, że chora słyszała jego wołanie. Po chwili otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Przywołałeś mnie jeszcze na parę minut do życia, — rzekła.

Dozórczyni zbliżyła się i podała jej łyżeczkę mocnego, starego wina.

— To było zemdlenie, — zawyrokowała, — a nie śmierć.

— Dzięki Bogu! — westchnął sir John, i przekonał się sam teraz, że bladość śmiertelna ustępuje zwolna z twarzy córki.

— Nie odchódź Arturze, — prosiła znowu Helenka, — jestem zmęczona i chciałabym spać.

Lord Chesley nie ruszał się. Złota główka żony opierała się lekko na jego ramieniu, a spokojny oddech był dowodem, że chora rzeczywiście usnęła. Gdy dozórczyni po chwili zbliżyła się ostrożnie do niej, zauważyła, że na czole jej wystąpiły drobne krople potu.

— Nie chciałabym budzić w sercu milorda nadziei, — rzekła do sir Johna, — ale muszę powiedzieć, że pot dobrym jest znakiem. Może być, że lekarze jednak się mylą, i że lady Chesley wyzdrowieje!

ROZDZIAŁ TRZECI.

Nadzieja! Ile szczęścia zawiera ten jeden wyraz, jeżeli go się słyszy przy łóżku chorej, ukochanej istoty! A tutaj wszyscy tak niezłomnie uwierzyli w wyroki sławnych doktorów, że nikt nie wątpił o śmierci Helenki. Lord Chesley siedział nieporuszony i żadnem nie zdradzał słowem tego, co się w duszy jego działo. Helenka otwierała raz po raz oczy, szepcąc niewyraźnie o swojem szczęściu, Janina zaś milcząc, stała po drugiej stronie łóżka.

Krótka noc letnia miała się ku końcowi i pierwsze blaski jutrzenki ukazały się na niebie. Dozorczyni podniosła rolos, a gdy spojrzała teraz na twarz chorej, rzekła do sir Johna:

— W ostatnich godzinach wielka nastąpiła zmiana. Poślij milordzie natychmiast po lekarza, zdaje mi się bowiem, że kryzys szczęśliwie minęła.

Sir John wyszedł z pokoju, aby wysłać posłańca do Londynu po doktora, i uczuł się głęboko wzruszonym na widok rozpromienionych twarzy całej służby, gdy powiedział, że jest jeszcze może nadzieja uratowania chorej. Wszyscy uwielbiali Helenkę i ze łzami radości słuchali pomyślnej nowiny.

Pierwsze promienie słońca zbudziły także z sztucznego snu lady Marstone.

— Ach! — zawołała z rozpaczą, — więc pozwoliliście mi spać, podczas kiedy ona umierała?

— Ależ o śmierci nie ma mowy — odrzekła stara Barbara, wierna jej garderobiana, i teraz dopiero dowiedziała się matka o wszystkich wypadkach ostatniej nocy.

Z początku nie dowierzała własnym uszom.

— Co, Helenka jest żoną lorda Chesleya? — pytała zdumiona i przerażona. — To być nie może! Wszakże to dziecko jeszcze!

— A jednak myślę, że ślub ten uratował jej życie, milady! Panienka ciągle była niespokojną, jak gdyby ciężar jaki przytłaczał jej serce — teraz zaś leży zupełnie cicho, i wzmacniający sen przełamał chorobę. Wybacz milady, zdaje mi się, że ona od dawna kochała lorda Chesleya, i że teraz będzie zdrową.

— A on kocha ją także, Barbaro?

— Przecież ożenił się z nią! Któżby jej nie kochał!

Lady Marstone westchnęła i pomimo, że sztuczny sen niezmiernie ją osłabił, wstała czemprędzej i pobiegła do córki. Helenka spała spokojnie.

— Czy to prawda? — zapytała cicho męża.

— Tak jest — on ocalił jej życie!

Wtedy zbliżyła się do Artura i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła drżącym od wzruszenia głosem:

— Niech cię Bóg błogosławi, mój synu! Niechaj da ci wszystko, czego serce twoje pragnie!

Czego serce jego pragnęło! Słowa te były istnem szyderstwem w chwili obecnej, a oczy jego, które nie wyrażały wcale, że życzenia jego serdeczne zostały spełnione, spoczęły na Janinie, stojącej przy oknie z spuszczoną głową i zaciśniętemi nerwowo rękami.

Lekarz z Londynu przybył wkrótce, a gdy spojrzał na chorą, rzekł tonem radosnego zdumienia:

— Jestem szczęśliwym, że mogę się przyznać do omyłki. Miss Marstone wyzdrowieje!

Sir John uśmiechnął się.

— Córka nasza — odpowiedział — nie ma już prawa do tego nazwiska. Jest ona od kilku godzin żoną lorda Chesleya.

Stary lekarz z nieutajoną ciekawością wysłuchał opowiadania rodziców.

— Nie jest to pierwszym wypadkiem w mojej długoletniej praktyce — rzekł w końcu. — Zdarza się często, że silne wzruszenia moralne przyspieszają kryzys i zwyciężają chorobę. Jestem przekonanym, że małżeństwo to ocali życie córki państwa.

— Więc jest rzeczywiście nadzieja! — zawołała lady Marstone.

Doktór zbliżył się raz jeszcze do łóżka i patrzał uważnie na pacyentkę.

— Tak! — odrzekł po chwili, — mogę powiedzieć śmiało, że dziecko pani żyć będzie!

Widział, jak lady Marstone upadła na kolana, i jak mąż pochylił się i ucałował twarz jej, ale nie widział wyrazu rozpaczy, z jakim lord Chesley i Janina Burton spojrzeli na siebie.

— Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze, — dodał, — i należy zachować wszelkie środki ostrożności, ale miejcie państwo nadzieję, że wkrótce wszystko będzie dobrze!

Wiadomość ta rozeszła się lotem błyskawicy po całym zamku, a mieszkańcy jego odetchnęli lżej, jak gdyby wszystkim ciężki kamień spadł z serca. Rodzice odzyskiwali na nowo ukochane dziecię, to też radość ich i szczęście nie miały granic. A jednak byłoby lepiej dla Helenki, gdyby była umarła teraz — ale w tej chwili nikt o przyszłości nie myślał!

Około południa obudziła się Helenka z swego długiego snu. Spojrzała na całą rodzinę, zgromadzoną przy łóżku i uśmiechnęła się. Gdy oczy jej spoczęły na Arturze, wyciągnęła do niego rękę.

— Czy to nie sen? — szepnęła. — Czy rzeczywiście jestem jego żoną?

— Nie, to nie sen, — odrzekła, — a oprócz tego mam ci jeszcze do powiedzenia coś bardzo pomyślnego. Wczoraj byłaś ciężko chorą, dziś jednak niebezpieczeństwo minęło, i będziesz zdrową, dziecko!

— Zdrową! — powtórzyła Helenka. — Doprawdy mamo? O tem nie myślałam wcale, — dodała, a twarzyczka jej lekkim pokryła się rumieńcem. — Ale dlatego nie rozłączę się przecież z Arturem! Bo wolałabym zaraz umrzeć, niż żyć bez niego!

— Należycie teraz już na zawsze do siebie, — zapewniała lady Marstone. — Nie wiedziałam, że kochasz go tak bardzo, Helenko! Czemu nie wyznałaś mi tego?

— Nie wiedziałam sama dotychczas, jak bardzo go kocham! Dopiero gdy się dowiedziałam, że muszę umierać, uczułam, że pożegnanie się z nim byłoby mi najcięższem.

— Pozwól mu teraz trochę wypocząć, Helenko, — rzekła matka łagodnie. — Artur siedział tu całą noc i jest zapewne bardzo zmęczony.

Szafirowe oczy spojrzały błagalnie na lorda Chesleya.

— Ale wrócisz wkrótce, — szepnęła Helenka. — Nie mogę się obejść bez ciebie!

— Tak, wrócę..... zaraz.....

— I nie gniewasz się, że tak sobie przywłaszczyłam ciebie?

Cóż miał na to odpowiedzieć? I pomimo, że straszna rozpacz przepełniała jego serce, nie mógł i nie chciał męczyć biednego, kochającego dziecka. Pochylił się więc nad nią i dotknął ustami jej czoła.

— Pozbądź się takich nierozsądnych myśli, — rzekł, — wrócę za chwilę!

Lady Marstone zwróciła się teraz do siostrzenicy.

— Janiu, — rzekła, — proszę cię, zejdź na dół i postaraj się o śniadanie dla lorda Chesleya.

Młoda dziewczyna wyszła, milcząc, podczas kiedy Artur wahał się z odejściem. Z jakiem rozpaczliwem przeświadczeniem nieszczęścia stanie teraz w obec ukochanej, jak okropna przepaść rozdzielała ich odtąd.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Kosa polska.

Wiersz Józefa Pierri, florenckiego poety.

(Wspomnienie z roku 1830—31.)

Kiedy na wojnę z Moskwą zawołano
Rzuciłem spokój cichego poddasza,
A nie mający fuzyi ni pałasza,
Chwyciłem kosę, com nią kosił siano.
I pod Dubienką zaraz pierwszą razą
Pobiło Moskwę poczciwe żelazo,
I nauczyło Moskwę chłopstwo bose
Co to szanować tę potężną kosę!
Koso krakowska, koso moja miła,
Wierna Polakom, których zbroisz ramię,
Przed tobą, koso, kozak karki łamie;
Do onej sprawy tyś człeku stateczna,
Koso krakowska, koląca i sieczna!
Kiedy cię biorę, gdy już idziesz ze mną,
Wiedzą Moskale, że nie nadaremno,
Żadna broń inna tobie niewyrówna,
Koso krakowska, koso ty szacowna!

T. Ł.



SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

II.

Nocna konferencya.

Było to już dawno po północy, a jeszcze słabe, przyćmione światełko migotało w oknach dworku sławetnego pana Macieja Dyni, cechmistrza kowalskiego, miasteczka Pyzdr.

Coś tam musiało zajść niezwykłego, kiedy do tak późna stary pan majster, od dawna przyzwyczajony do wygódek i ciepłej, elastycznej pierzyny, nie uległ tą razą tak silnym pokusom, jakiemi mogłyby być wygodne bety. — Może stary pan Maciej, strapiony czem odmawia modlitwy i litanię do świętego Antoniego, patrona utrapionych? Ach, bo i ma też biedny, stary cechmistrz czego rozpaczać. To co było od lat dwudziestu najgorętszem jego życzeniem, o co w porannej i wieczornej modlitwie ze łzami w oczach się modlił, nie mógł sobie u swego ulubionego świętego uprosić. Pan Maciej od lat dwudziestu małżeńskiego pożycia z godną swoją połowicą, nie doznał błogosławieństwa Bożego, nie mógł pomimo najusilniejszych starań i zabiegów doczekać się gorąco upragnionego potomstwa! Ile to łez codziennie wylała pani Kordula, ile to srebrnych cwancygierów wydobyło się z tajemniczej pończoszki dla starych bab i cyganek na pacierze i zaklęcia!

Ale cóż! wszystko to nic nie pomogło — upragnionego potomstwa jak nie było, tak nie było!...

Pomimo tego jednak nie tracił nieszczęśliwy pan cechmistrz kowalski nadziei, że się kiedyś jego gorące sny i marzenia urzeczywistnią, i co wieczora, gdy wlazł w ciepłą, pulchną pierzynę, wznosił oczy z westchnieniem do nieba i przypominał świętemu Antoniemu swoje utrapienia!...

Te i tym podobne myśli snuły się po burej głowie bakałarza pyzdrskiego, który stojąc w niskich oknach swojej chaty, wprost dworku pana Macieja, łamał sobie biedną mózgownicę nad odgadnieniem sfinxu, który mu zaświecił wśród późnej nocy w oknach dworku starego cechmistrza kowalskiego.

A bo i ciekawa też to ta cała postać szanownego bakałarza pyzdrskiego!

Pan Tymofty Wukała, piastujący urząd mentora całego młodszego pokolenia pyzdrskiego, był chodzącą kroniką całego miasteczka. Pan Tymofty musiał wiedzieć, jakie i w którym dworku były chrzciny, gdzie pogrzeb ze stypą czy bez stypy, kto i po co chodzi do młodej pani Ławnikowej na wieczorki, czego wszystkie dzieci pani Bartłomiejowej kubek w kubek podobniuteńkie do rumianego pisarza z urzędu — słowem, nic dotąd nie było w całem miasteczku takiego, o czem by bakałarz Wukała szczegółowo nie wiedział, i nad czem by profesorskim swoim rozumem nie pomedytował.

Ale zostawmy tymczasem szanownego naszego mentora, rozmyślającego nad tą nie odgadnioną dlań zagadką, która mu klin nabiła w nieszczęsną burą głowę, a sami, korzystając z nieograniczonych praw powieściarskich, udajmy się na chwilkę do dworku sławetnego pana cechmistrza kowalskiego, u którego dzisiaj cała starszyzna miasteczkowa zgromadziła się na walną, tajemniczą naradę.

Po za długim, dębowym stołem pozasiadała szlachta; pierwsze miejsce zajął znajomy już nam nieco stary, osiwiały Szczygieł, majster szewski, zasłużony mieszczanin pyzdrski, który już nie jeden trud pro bono publiko poniósł, potrzebny jak mówią „i w radzie i w swadzie“ i obok niego zajął miejsce nasz nieznajomy podróżny, który się już na dobre pobratał z poczciwymi mieszczanami, których długi szereg świecił naburzonemi czuprynami z za stołu.

W kącie izby, niedaleko obszernego pieca sapał gruby organista, pan Kalasanty Kukawka, który nie najpilniej jakoś słuchał poważnych rozpraw zgromadzonej starszyzny, częściej jednak zato zazierał do kufla, do którego mimowolnie jakiś nieprzezwyciężony czuł pociąg.

Ciche milczenie, jakby makiem siał, zaległo obszerną izdebkę, stary pan Szczygieł mówił, a na twarzy jego rozlał się jakiś święty i poważny wyraz, że i najburzliwsi mieszczanie umilkli i z upokorzeniem słuchali pięknych słów swego cechmistrza.

— Otóż widzicie moi ukochani bracia i szanowni mieszczanie — mówił pan Wojciech, że to com wam dawno już przepowiadał, a na coście wy niedowierzająco głowami potrząsali, wreszcie się spełniło...

...Nasi bracia nad Wisłą walczą już przeciw chytrej przemocy Moskwicina, cały naród jakby otrząsnął się z plugawej brudoty, i ze zgrozą a obrzydzeniem patrzy na lubieżnego króla, który dla podłej rozkoszy poświęcił lud swój i znieważył święte berło, tak godnie przez starych naszych ojców piastowane...

...Nadeszła chwila, w której każdy Polak, kochający swoją ziemię, powinien brać za broń i stawać w szeregi walczących za świętą sprawę wolności, nadeszła chwila — nie burzliwych krzyków i sejmikowań, ale zgody, jedności i wiary, a gdy te trzy cnoty połączymy z pracą, usilną i wytrwałą pracą, dojdziemy do kresu naszych marzeń i nadziei!...

...Bracia! obecna chwila powinna pozostać dla nas świętą — przysięgnijmy tu, przed obrazem Zbawiciela, że będziemy nieodrodnymi synami starych naszych ojców i niepożałujemy krwi, wylanej w świętej sprawie wolności ojczyzny!...

— Przysięgamy! — wykrzyknęli jednogłośnie rozrzewnieni mieszczanie, a stare pradziadowskie karabele złowrogo zabrzęczały u szerokich pasów...

Po chwili, gdy się trochę uciszyło, mówił pan Wojciech dalej:

— Po całym kraju krążą odezwy, wzywające wszystkich do walki, oto jedna z takich z pieczęcią i podpisem JMć Pana Józefa Puławskiego, do mieszczan pyzdrskich...

Tu wyjął pan cechmistrz z za kapoty pismo opieczętowane, które piorunem przeleciało przez drżące ręce rozburzonej szlachty... Wszyscy z otwartemi rękoma do szczerego uścisku, zaczęli się cisnąć do ramion nieznajomego naszego podróżnika, zwanego przez poczciwych mieszczan Kazimierzem Ostoją, w którym poznamy dawnego przyjaciela starego Wojciecha, a teraz konfederata Barskiego, wysłanego z odezwami do wszystkiej prawej braci w województwie kaliskiem. Stara żyłka szlachecka ozwała się w poczciwych mieszczanach pyzdrskich; krzyk i gwar rozległ się po całej izdebce; tu kupka szlachty brzęczy w karabele, z zapałem ferworuje i złowrogo ściska żylaste pięści; tam znowu wołają o nowe dzbany miodu, ażeby szumnie wypić zdrowie przybyłego konfederata i starego Wojciecha.

— Ależ do stu czartów... mamy radzić, to radźmy, a nie traćmy czasu na pijatyce i próżnych zabawach! — krzyknął zmarszczywszy brwi stary Szczygieł i silną pięścią uderzył w stół, wzywając mieszczan do porządku.

— Radźmy! radźmy!... — ozwały się liczne głosy i szlachta hurmem zaczęła się tłoczyć do stoła...

— No silentium! sza!... pan Wojciech mówi! — krzyknęło kilku gorliwszych słuchaczy, i po chwili pan cechmistrz splunąwszy i odkrząknąwszy zaczął:

— Kiedy już taka wola Boża, żebyśmy szli gromić wroga to przynajmniej naradźmy się przedtem, jak, kiedy i którędy mamy iść, ażebyśmy potem przedwcześnie nie żałowali..

...Nie trwońmy czasu, właśnie dzisiaj jest on nam bardzo drogi, a kto go nie szanuje, ten nie wart stać w szeregu, razem z prawym synem ojczyzny!...

Stary cechmistrz skończywszy, zamilkł...

— Dobrze mówił!...

— Słusznie!

— Bardzo słusznie! — zauważył ten i ów, a pan Wojciech z zadowoleniem musnął się po czuprynie i zapytał:

— A teraz szanowni mieszczanie, kogoż wybieracie sobie na wodza, któż was poprowadzi?

— Pana Bartłomieja! — zawrzeszczało kilka głosów z szarego końca.

— Nie! nie! pan Maciej nas poprowadzi! — krzyknęli stronnicy gospodarza...

— Pan Kazimierz!

— Pan Wojciech! pan Wojciech!... — grzmiał najliczniejszy chór mieszczan.

— Tak! tak! pan Wojciech, który nam pierwszy tę radośnią nowinę zwiastował, pan Wojciech powinien nas poprowadzić! — popierali inni.

Wielki gwar i rozruch wszczął się w izdebce pana cechmistrza kowalskiego; jedni krzyczeli za tym, drudzy znowu za innym, wreszcie wszystkie głosy zlały się w jeden głośny chór.

I porwali poczciwi mieszczanie pana Szczygła na ręcę i zaczęli go obnosić po całej izdebce, wśród radośnych okrzyków:

— Niech żyje pan Wojciech Szczygieł, dowódca konfederatów pyzdrskich, niech żyje! — aż okna starego dworku brzęczały...

Wtem nowe zamieszanie i rozruch wszczął się w izdebce; pan Kalasanty Kukawka, organista, który dotąd cicho i prawie niewidzialny od nikogo pod piecem drzemał, zerwał się na równe nogi, i jakby rażony skoczył do drzwi, rozpychając pięściami rozochoconych mieszczan i wrzeszcząc wniebogłosy:

— W dzwony! w dzwony! ratunku! w dzwony!...

— Co to... co to się stało?! gdzie moja Kordusia?... — wyjąknął przerażony pan Maciej, gospodarz, któremu ciągle po głowie szanowna połowica się snuła...

— Łapaj! trzymaj! bij go!... wołali odważniejsi ze szlachty, myśląc, że banda Moskali wpadła między przerażonych mieszczan...

— Pali się!... — wysapał przewracając oczyma pan Kalasanty.

— Gdzie?... w mieście?!...

— Tu, tu między nami!...

— Między nami?... jakto? gdzie?!...

— Albożeście nie krzyczeli na gwałt i nie wołali ratunku, ażem się obudził?! — zawołał płaczliwym głosem pan Kukawka.

— Ha! ha! ha! pan Kalasanty zdrzemał się!

— Za wiele miodku, piliście panie Kukawko!... — wołali ze śmiechem mieszczanie.

Skonfundowany pan organista niemiał obecnie siły, aby na tyle zarzutów, kompromitujących świętą jego osobę, godnie odpowiedzieć; usiadł więc z pokorą na dawnem miejscu, i ocierając łzy, zaczął się żalić przed ukochanym kuflem na tak srogą niewdzięczność ludzką, a zauważywszy jeszcze łepską kapkę na dnie kufla – pociągnął rzetelnie i zaczął znów myśleć nad znikomością świata...

Tymczasem uciszyło się rozochocone zgromadzenie, a pan Wojciech stuknąwszy z powagą sękatą swoją laską o stół, wezwał szanownych mieszczan do porządku.

— Teraz jeszcze pozostaje nam do uradzenia — ozwał się po chwili, gdzie i kiedy mamy wyjść? Czy przez Wartę jarami do Lądka, czy bowiem tamtędy koło Złodziejskiego karczmy w Ratajach do Zagórowa?...

— Do Zagórowa, zaraz jutro o wschodzie słońca! — ozwały się liczne głosy...

— Dobrze! dobrze! do Zagórowa — popierała doświadczona starszyzna — tam właśnie teraz stoją wojska carskie!

— A to waśnie, wyśmienicie! wpadniemy z nienacka jak piorun i na miazgę drabów pobijemy!...

A więc dobrze... — zakonkludował pan Wojciech — dziś jeszcze w nocy przygotować się, oczyścić broń, porobić ładunki, a jutro, skoro świt: wszyscy do kochanego naszego księdza proboszcza. Po św. komunii i błogosławieństwie — marsz!...

— A teraz — dodał — komu w drogę temu i czas... da Bóg doczekać ranka, po modlitwie na wroga!

— Na wroga — powtórzyli rozradowani mieszczanie — w Bogu nasza nadzieja!

Radość i otucha wstąpiła w serca poczciwych naszych mieszczan; wszelka zawiść i sąsiedzkie spory ustąpiły jednej, głównej myśli, a tą była:

— Ojczyzna!

I wesoło powracali mieszczanie do swych dworków; serca biły mocno a radośnie, a na duszy było im jakoś tak błogo jak nigdy...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Przy skubance.

Przy stoliku dziewczę siadło,
Posmutniało i pobladło,
I westchnąwszy sobie szczerze,
W białe rączki płótno bierze,
I niteczka po niteczce,
Zręcznie, zwinnie, skubie, składa,
A sto myśli w jej główeczce,
I sto uczuć w sercu gada.

O! bo nasza to dziewica,
I naszemi sprawy tchnięta,
A więc wielka, a więc święta,
Jako polska ofiarnica.

Rączki zwinne szarpie skubią,
W górę rosną nitek stosy,
A westchnienia, a półgłosy
W drżących ustkach wciąż się gubią.

O! nie jeden może w boju
W takiej ciężkiej nie był próbie,
Jak to dziewczę, choć w pokoju,
Gdy dla rannych szarpie skubie.

O! nie jeden, co bój stacza,
Nie złorzeczył Moskalowi,
Jak to dziewczę klnie wrogowi,
Choć się modli, nie rozpacza.

Łza się w oku nieraz kręci,
Rączka zadrży, nić się zrywa,
Bo dziewica nieszczęśliwa,
Choć wie, że to wierni święci,
Co w bój idą nieustanni,
I wracają z boju ranni...
Ma tam przecie swój widoczek,
Bo się pamięć upomina,
Więc jej serce się zacina,
I po czółku mknie obłoczek.

Lecz z obłoczka, z chmurki czoła
Błyśnie ogień w jej źrenicy,
I podobna do anioła,
Blaskiem oczu, błyskawicy,
Znajdzie sobie ulgę, radę,
Choćby nawet w strasznej zgubie...
Więc znów płótno w rączki blade,
I znów rannym szarpie skubie.

Skubie, wzdycha, myśli, marzy,
Kocha, wierzy, tęskni, czeka,
A niteczka z rąk ucieka,
I z nią smutek z bladej twarzy.

Polskie dziewczę! ty rycerko!
Tyś prawdziwą bohaterką!

Przy skubance z sercem twojem,
Ty u Boga walczysz wroga,
I tyś Jemu taka droga,
Jak walczący z wrogi bojem.

Skub dziewico! bo krew płynie;
Da Bóg rączki twoje białe,
W pomyślniejszej znów godzinie,
Zrobią sztandar im na chwałę. *Tur...*

W rocznicę powstania styczniowego 21. 1. 1900.



W sprawie konkursu.

Na mocy oceny przez Szanownych Czytelników nadesłanych nam prac konkursowych — gwiazdkowych i noworocznych — stósownie do naszego zawezwania zamieszczonego w numerze 52-im z r. z. i 1-ym z r. b. otrzymali:

Pierwszą nagrodę — 50 marek — p. Jan Darski, autor obrazka wigilijnego p. t. „Z życia“ (numer 4-y, strona 109 i następne).

Drugą nagrodę — 30 marek — p. L. W., autor wiersza „Choinka u Bozi“ (numer 52-gi gwiazdkowy, strona 1342).

Trzecią nagrodę — 20 marek — pani „Iry“ (pseudonim), autorka wiersza „W wieczór wigilijny“ (numer 52-gi gwiazdkowy, strona 1337).

Czwartą nagrodę — 20 marek — p. „Omega“ (pseudonim), autor wiersza „Koniec wieku (numer 1-szy noworoczny strona 16-sta).

Piątą nagrodę — 10 marek — p. M. B., autor nowelki „Sen wychodźcy“ (numer 52-gi gwiazdkowy, strona 1340).

Szóstą nagrodę — 10 marek — pani B. autorka humorystyki: „Hania — Krakowiak“ (numer 52-gi gwiazdkowy strona 1355).

Za bardzo żywe zainteresowanie się rozwiązaniem konkursu i za bardzo liczne nadesłanie nam prac konkursowych serdecznie dziękujemy Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom i nadmieniamy, że z prac nadesłanych, a niezamieszczonych skorzystamy, da Bóg doczekać, na przyszłą Gwiazdkę i przyszły Nowy Rok.

Poznań, 29-go stycznia 1900.

Redakcya „Pracy“.

Jeszcze wciąż można zapisywać

☛ “PRACĘ“ ☚

na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** do przyjęcia abonamentu, który wynosi na luty i marzec

tylko 67 fenygów.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze przez cały kwartał w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest pod rubryką II t. Nr. 86.

☛ **Kwit abonamentowy** zamieszczony jest na stronie 184-tej niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 67 fenigów posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Każda poczta jest zobowiązana dostarczyć numery zaległe z bieżącego kwartału.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na miesiące luty i marzec w ilości

67 centów

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na miesiące luty i marzec na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

☛ ***tylko 48 centów,*** ☚

zaś już z odnoszeniem do domu

tylko 52 centy.

Premium!

Kto *jeszcze teraz* zjedna nam nowego przedpłaciciela i nadeśle nam prócz swego kwitu abonamentowego także kwit zjednanego nowego abonenta, otrzyma jako premium piękny

Kalendarz Maryański

na rok 1900.

☛ **Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, „Szewczyk Szczygieł“ i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.**

☛ **Każdy z Czytelników otrzyma od nas numera „Pracy“ na żądanie celem rozdania takowych między przyjaciół, znajomych, krewnych i t. p. bezpłatnie i franko.**

Wiadomości.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebne nam są numera: 51-szy i 52-gi z roku zeszłego, oraz nr. 1-szy, 2-gi, 3-ci, 4-ty i 5-ty z roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Prośba. Szanownych Czytelników, zamawiających i odbierających „Pracę“ pod opaską, prosimy o dokładnie i wyraźnie pisane adresy z wymienieniem najbliższej stacyi pocztowej celem ułatwienia przesyłki.

Kalendarz Brazylijski ofiarujemy bezpłatnie tym Czytelnikom „Pracy“, którzy nam nadeślą kwit abonamentowy z najświeższą datą i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

Agenturę „Pracy“ na miasto Bruch w Westfalii i okolicę otworzyliśmy w Bruchu u pana Wojciecha Chwiłkowskiego, prezesa Towarzystwa św. Michała — Hillerheide nr. 16 III, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bruchu i okolicy. U p. Chwiłkowskiego można zaabonować „Pracę“ od każdego czasu.

Pp. kupcy baczność! *Od jednego z najpoważniejszych obywateli powiatu Kępińskiego* otrzymujemy bezinteresowny komunikat, że w tamtej okolicy t. j. na większej wsi i to naprzeciw kościoła — jest bardzo dobrze zaprowadzony handel do wydzierżawienia (bliższe szczegóły patrz w odnośnem ogłoszeniu niniejszego numeru „Pracy“ pod. lit. K. Nr. 71).

Wielce szanowny korespondent nasz, mający znaczne wpływy w powiecie — przyrzeka rzetelnemu kupcowi z swej strony wszelkie poparcie i jest przekonany, że za jego przykładem i okoliczni panowie polscy rodaka nie opuszczą, byleby tenże był na miejscu i dopilnował interesu. Paru żydów mających bardzo rozwinięty handel w tejże samej wsi, zrobiło już gruby majątek.

Czas więc, by w zamożnej polskiej wsi, rodak chleb zyskał, a nie będzie mu trudno o takowy, jak i łatwa konkurencya z żydami, byle by miał rzetelny towar, był sumienny a skory w obsłudze i wogóle dbały o pozyskanie i zatrzymanie klienteli.

Gdyby się nie miał znaleść odpowiedni kandydat — założoną będzie spółka bazarowa, co jest najlepszym dowodem, że brak tamże umiejętnego kupca.

Zgłoszenia prosimy nadesłać zaopatrzone *na kopertach* lit. K. Nr. 71.

Redakcya „Pracy“.

Z Warszawy odebrał lwowski „Ruch Katolicki“ wiadomość, że rozrzucono tam proklamacyę, przepełnioną frazesami o nieprzedawnionych prawach Polski od morza do morza, o zdradzieckiem założeniu „Oświaty“ i t. d. Jakkolwiek proklamacya jest pełną nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie, mimo to robi wrażenie elaboratu oficersko - żandarmskiego. Uderza też zaraz na pierwrzy rzut oka, że język jej jest pełen rusycyzmów. Nic więc dziwnego, iż zrodziło się podejrzenie, że jest to dzieło tych ludzi, którzyby chcieli w mętnej wodzie ryby łowić.

Tow. Czytelni dla Kobiet w Poznaniu członkom swoim oraz Szanownej Publiczności uprzejmie donosi, iż w przyszły poniedziałek odbędzie się na sali Hotelu Francuzkiego odczyt pana Wł. M. Kozłowskiego z Krakowa. Po odczycie towarzystkie zebranie.

Biletów na odczyt i herbatkę w cenie 1,50 mk. nabywać będzie można u nas w Czytelni, Wiedeńska 10, oraz w składach pp. Rose'go w Bazarze i Wichrowskiego i Swięcickiego, ul. Berlińska 20.

Tow. Czytelni dla Kobiet w Poznaniu członkom swoim donosi uprzejmie, iż z powodu nawału materyału a bardzo obszernej jeszcze dyskusyi, na odbytem dnia 25 stycznia r. b. walnem zebraniu zdołałyśmy dokonać tylko zmiany ustaw Towarzystwa naszego. Uchwaliłyśmy również przywrócenie dawniejszej daty zdawaniu sprawy z czynności naszych naznaczając ją na miesiąc luty, który jes. zarazem rocznicą założenia Towarzystwa

W myśl tej uchwały i na podstawie przez nas przyjętych poprawek do ustaw, to roczne walne zgromadzenie wraz z oborem Zarządu i Wydziału odbędzie się w przeciągu przyszłego miesiąca. Wydział.

Z teatru. W ubiegłą sobotę i niedzielę wystawiono na scenie naszej jako premierę sztukę p. t. „Cola Rienzi", dramat napisany oryginalnie przez Adama Asnyka. Utwór ten jest wspaniałem dziełem poetyckiego natchnienia, a w ostatnich obrazach wybucha potężną siłą i porywa po prostu widzów.

Wykonanie dramatu zaszczyt przynosi dyrekcyi. Colę Rienzi grał pan Ryger tak, jak tylko on jeden to potrafi. Takiego trybuna, który siłą słów i czynów porywa tłumy, a potęgą umysłu umie przeprowadzić plany swe i zamysły, inaczej sobie wyobrazić nie można. Pani Wysocka w roli Paoli była prawdziwą patrycyuszką rzymską; w przedostatnim obrazie przeklinając męża i odkrywając rozpacznie tłumiony stan serca, zachwyciła słuchaczy i otrzymała rzęsiste brawo. P. Bednarczyk wyraziście zaznaczył mściwy charakter Cecca. Guidona, pełnego szlachetności i poświęcenia wykonał pięknie pan Adwentowicz. — Żywioł komiczno-harakterystyczny doskonale reprezentowali pp. Królikowska, Czerniak i Berski. Na sympatyczną wzmiankę zasłużyli pp. Jakubowscy, Knapczyński, Kosiński i Wysocki.

W sobotę dnia 3-go b. m. audytoryum rozbrzmiewać będzie napewno śmiechem serdecznym, w dniu tym bowiem odegrają artyści oryginalną w pomyśle i bardzo zabawną krotochwilę p. t. „Przygody przy ulicy św. Marcina".

W niedzielę. dnia 4-go b. m. wieczorem sztuka ta bardzo wesoła powtórzoną będzie.

„Tajemnice Poznania", sztuka w 5 obrazach ze śpiewami i tańcami układu Leopolda P. Dolińskiego, będą grane na tutejszej scenie w końcu lutego lub z początkiem marca. „Tajemnice" zawierają 5 obrazów: Ach ten Poznań — Zabawa ludowa na miasteczku — Zrękowiny na Chwaliszewie — Tajemnicze morderstwo nad Wartą i — Wiara zwycięża.

Konfiskata. „Gazeta Kościańska" skonfiskowaną została z powodu zamieszczenia odezwy warszawskiej „Ligi narodowej". Odezwa wzywa wszystkich Polaków bez względu na to, do jakiego państwa należą, aby postarali się o odbudowanie Królestwa polskiego. Jak piszą z Kościana do „Pos. Ztg.", redaktor oświadczył, że nie życzył sobie bynajmniej, aby Polacy postąpili w myśl odezwy, gdyż Polacy zamieszkujący w Prusach powinni się czuć Prusakami i zastosować do praw krajowych!

My z naszej strony nie dziwimy się wcale konfiskacie podobnego elaboratu, lecz podziwiamy po prostu naiwność redaktora „Gazety Kościańskiej" i tegoż niedorzeczne tłomaczenie się!

Krotoszyn. Złote wesese obchodził 29 zm. w Krotoszynie emerytowany główny nauczyciel p. Jan Smietana z małżonką swoją Mechtyldą z Kinowskich. Na rzadką tę uroczystość familijną zjechali pomiędzy innymi ks. Kinowski, proboszcz z Oporowa, i ks. Józef, syn jubilatów, proboszcz brodzki. Przed trzema laty obchodził jubilat 50 letni jubileusz zawodu nauczycielskiego.

Nowemiasto, dnia 17-go stycznia 1900. W niedzielę, 14 b. m. odbyło tutejsze Towarzystwo Ludowe swe zwyczajne zebranie przy licznem zgromadzeniu członków i gości. Posiedzenie zagaił powszechnie znany i gorliwy prezes Towarzystwa naszego, pan Marwicz, zaczynając pochwaleniem Pana Boga, życzył w nowym roku wszystkim zdrowia, jak szczęścia i przedewszystkiem, byśmy w zgodzie i jedności żyli i wzajemnie się popierali. Idąc za hasłem swój do swego, wzywał do popierania naszego przemysłu przyczem nie omieszkał polecić kupca naszego nowoprzybyłego, p. Budę, który od tygodnia założył tutaj interes bławatny i sukna. Poczem oddał głos p. dr. Krebsowi, który na temat „Zdarzenia z swej praktyki" odczytał nader wesołe i zabawne zajścia i zabobonne leczenie chorych przez mądre baby, za co p. dr. Krebsowi wykrzyknięto „niech żyje". Pan Czarnecki oddeklamował z wszelkiem staraniem „Dzwon Zygmuntowski", poczem przystąpiono do dalszego porządku dziennego i oboru nowego zarządu. Tu dodać mi wypada, że p. Marwicz, który urząd złożyć postanowił, łaskawie go nadal przyjąć raczył. Niech Mu Pan Bóg da niebo i siłę, by jeszcze długie lata pracować był w stanie, a pod Jego gorliwą opieką jak komendą Towarzystwo Ludowe krzewić i rozpowszechniać się będzie. Po wspólnem odśpiewaniu „Gdy się Chrystus rodzi" zakończył się ten miły i przyjemny wieczorek, który każdemu pozostanie długo w pamięci. *Członek.*

Domb, Górny Slązk, 22 stycznia. W rocznicę naszego teatru, za któryśmy tyle przecierpieli, zasyłamy naszej kochanej „Pracy" serdeczne pozdrowienie i „Szczęść Boże"!

A. Mazur. Zofia M. Jan Soporski.
Klemens Zerja. Filusia.

„Szkółki Domowej" wyszedł numer 5-ty i zawiera: Nasza rycina (Unia Lubelska). — Najnieszczęśliwsze dziatki i najnieszczęśliwsze matki, X. Wacław, Kapucyn (dok). — Gdybym był grzecznym! wiersz Jadwigi z Z. S. — Opisanie W. Ks. Poznańskiego. — Wyprawa upartej Mani. Z. S. — Litościwa Bronia, wiersz Paula S. — Ołówek (Marya Meryho). — Rozwiązania i Szarady.

Zmarli:

S. p. hr. Stefan Kwilecki z Dobrojewa umarł 25 z. m. rano po krótkiej chorobie w 61 roku życia. Dzielny ten pod każdym względem a sympatyczny dla wszystkich obywatel, pozostawił ciężki żal i smutek w społeczeństwie naszem. Nie było dobrej sprawy, którejby nie pochwalał, nie popierał słowem i czynem, a zawsze hojną ręką. Gorące serce polskie odznaczało go zawsze najkorzystniej. Rodzinie, która w zmarłym traci jednego z najszlachetniejszych członków swych, przesełamy wyrazy szczerego udziału w żalu powszechnym.

S. p. profesor dr. Leon Wituski, długoletni profesor w gimn. Maryi Magdaleny w Poznaniu, najstarszy członek Dyrekcyi Towarzystwa Naukowej Pomocy imienia Marcinkowskiego.

S. p. Alfred Sas Bandrowski, radca sądu krajowego, brat słynnego tonora, gorliwy członek Towarzystwa śpiew. „Lutnia", człowiek znany i ceniony w szerokich warstwach, zmarł we Lwowie po dłuższej chorobie dnia 22-go z. m.

S. p. Emil Borkowski, publicysta i redaktor „Djabła" zmarł po długich cierpieniach w Krakowie w 70-ym roku życia. Już wcześnie, bo w 15 roku życia próbował sił swoich jako autor, dając utwór wierszem napisany. W r. 1863 wziął czynny udział w walce o niepodległość. Gdy przeminął okres walk, wziął się do pióra i napisał rzecz p. t.: „Pięć krzyżów". — Około roku 1874 objął pismo satyryczne „Djabeł". Przed kilku laty ciężka niemoc powaliła go na łoże boleści. Chorym będąc ciągle jeszcze sterował nawą „Djabła". W październiku roku ubiegłego grono wybitniejszych osób pospieszyło do mieszkania ś. p. Emila Borkowskiego, aby mu złożyć życzenia z okazyi 50-letniej pracy na niwie literackiej.

S. p. Hipolit Zabłocki, b. obywatel z Wołynia, uczestnik powstania z r. 1863, przeżywszy lat 58, zmarł we Wrząsowicach. Pogrzeb odbył się w piątek rano w Wróblowicach pod Wieliczką. Zmarły cieszył się ogólnym szacunkiem.

Niech spoczywają w spokoju!

Od Redakcyi.

Panu F. K. w Małych Kańczycach, Szlązk austr. Za nadesłane nam adresy i szczere życzenia dziękujemy serdecznie.

Panu Antoniemu S. w Czercach, Galicya. W nr. 2-im i 3-im nie było. Za adresy dziękujemy bardzo.

Panu Fr. Kaszie w Strumieniu, Śląsk austryacki. Serdecznie dziękujemy za adresy — daj nam Boże jak najwięcej takich wiarusów na Slązku austryackim, a *pereat* szubrawiec Wolff z całą swą słowianożerczą kliką!

Panu W. Sz. w Katowicach. Wysyłamy dalej, ale prosimy nadesłać przedpłatę za bieżący kwartał.

Pani Bercie M. w Przemyślu, Galicya. Na razie mamy bardzo wiele zaległego materyału, więc prosimy jeszcze o cierpliwość.

Panu St. D. w Chrzanowie, Galicya. Serdecznie dziękujemy za nadesłane adresy. Zastosujemy się na przyszłość do Jego słusznych uwag.

Panu Józefowi W. słuchaczowi prawa, w Stanisławowie, Galicya. Cieszy nas bardzo, że „Praca" zyskuje sobie w Galicyi coraz żywszą sympatyą. Co do propozycyi, to o tem pomyślemy.

Dodatek humorystyczny.

Od starej babci.

Taki skory, taki chętny
Chwycić pragniesz pędzle, farby,
By podlotka wdzięk ponętny
W wieczne płótna ująć karby.
Lecz powstrzymaj dobre chęci,
Farby zostaw nieroztarte;
To, co z dala tak cię nęci,
Z bliska wierzaj nic nie warte.
Chronos, ów bezwzględny zdajca,
Ten okrutny winowajca
I ze mną się obszedł srogo.
Czem dla niego wieków zmiana?
Czem róży krasa płomienna?
Młodość i piękność stargana?
Wiosna, lato, mgła jesienna?
Z róż świetnych suche badyle,
Z motyli poczwarki czarne,
Z wielkości słynnych na chwilę,
Zostawia brzozy cmentarne.
I podlotek hoży, młody
Skrzydeł jego padł ofiarą,
W wieku zeszłym szczyt urody,
W teraźniejszym babcią starą,
Złotych włosów bujne zwoje
Dzisiaj szronem posrebrzone,
A więc schowaj pędzle swoje
I paletę złóż na stronę.
I jak twierdzi mądra „Praca“
„Czasu szkoda“, uwierz szczerze,
Czas zatraca, czas wzbogaca,
Czas swój pracy nieś w ofierze.

A. T.

Z Poznańskiego, 28. 1. 1900.

Pan Izydor na wodach.

(Monolog.)

Proszę państwa — z doświadczenie wam powiadam: jak kto słaby, to powinien sze kurować, a nie słuchacz nigdy baby! Baby zawsze głupstwo plotą — uny mogą miecz lekarstwo na ból głowy, albo katar, na brznch chory od obżarstwo, ale nigdy na tę słaboszcz, co przeróżnych trza narzędzi *(po chwili cicho:)* ja mam własznie takie słaboszcz: proszę państwo, mnie... (*pokazując na wierzch głowy*) tu swędży... Swędży... no, co na to zrobiacz? Ja spitałem moje Sure — una zaro powiedżała, co trza będzie, palicz skórę! Palicz skórę?... Po co palicz? Za co palicz? Z jakie racye? Przecież moje mądre głowe nie ma żadne „sekuracye“? A mnie swędży... To sze zeszły czocze, babkie, córkie, szostry, i gadały, co mam na łeb zapalenie bardzo ostry; coby ja przykładał sobie kamień z piekła, wytryolej, chrzan z musztardem, koperwasa, salamoniak, łój od kolej, tytuń, piasku i paprykie, a znów czocze Fisz Regine, to gadała, co by na łeb kłaść... te tryf (*spluwa*) od wieprz... słonine! A mnie swędży... To zacząłem kłaszcz na głowie gyps, musztarde, to zrobiała mi sze dżure — małe dżure, ale twarde! To ja już sze dżure — małe dżure, ale twarde! To ja już sze przelękniułem, dałem spokój z kramem całem, szedłem sobie spokój z kramem całem, szedłem sobie do kolei, i tu zaro przyjechałem! (*z zadowoleniem*). Szliczne kąpiel!... Tu nie takie, nawet dżure leczycz mogą! Szliczne kąpiel!... Szliczne wode!... Ah, Iwonicz! Jeno tu jest bardzo... drogo... (*ze zmartwieniem*). Tutaj „naszych“ bardzo dużo rystokracye, *a baj kyma* — jeno jedno jest tu feler, co... koszerne jadło niema... Doktór tutaj strasznie drogo, to chocz głowe moja chora — ja sze sam tam kurowałem, nie poszedłem do doktora... (*ze znajomością rzeczy*). Ja tu sobie pyłem wode, i kąpałem sobie w wodzi — po dwa kąpiel — po trzy kubki pyłem sobie — co to szkodzi... Ale, widze, nie pomaga — wlazłem więc po recht do głowe i zacząłem sobie kąpacz w te kąpiele „*igliwiowe*“... Nie pomogło... to ja znowu poleczałem po recht w głowe, i już brałem tych kąpielów, co sze zowią... „*basenowe*“... Potem brałem znów *łażebne*, potem znów *borowynowe*, potem te od rematyzmu: *Jodo bromy* i *tuszowe*, potem *szczawy alkaliczne*, potem *słone* wanny miałem, potem różne *inhalacje* od zapaleń stawy brałem, pyłem mleko, żentyc, kefir, i chadzałem jeno w wełnie — potem... jak już wszystko wziąłem, to nie brałem nic zupełnie... (*po chwili*). A głów swędży... Noce nie szpię, łeb mój dręczy mnie, jak zmora — to już sobie pomiszlałem, co i pójdę do doktora... Jeszcze tydzień poczekałem i poszedłem... tak, bez... mycki... (*z uśmiechem zadowolenia*). *Aj waj...* Jaki tu jest doktor un nazywa sze Dębicki — szliczny doktór, un nie zrobiał mi ni kłopot ni ambaras. — Un z te swoje poczekalnie to mnie w pokój wpuszczał zaraz i oglądał, sztukał, pukał, macał pulsów, słuchał, badał — potem miszlał i niedługo zaro... — „Nieżyt!“ mi powiadał... Co jo *nie żyd?* jakto *nie żyd?* Un sze mili miszlę sobie, on nie poznał sze na moje te... swędzenie, te chorobie... A un mówi: „Pan za dużo piłesz wodę... oj, za dużo!... I tutejsze różne wode panu wcale tu nie służą — niech pan jedzie do Karlsbadzie, tu pan nabył takie rzeczy co to tylko Szprudelwasser albo Milbrun je wyleczy...“ (*z przestrachem*) *Aj waj, mije!* miszle sobie co to tutaj za porządek, psijechałem na... swędzenie, a wijeżdzam na... żołądek! *Aj waj, mije!...* co tu zrobiacz? Więc mu gadam w czyhe słowa: — Niech konseljarz tyż zobaczy, co mi robi sze na głowa?... Un popatrzył i w szmiech zaro i tak do mnie w szmichu gadał: — Pane pacjent! Co u djabła, „Do te krostke pan psikładał?...“ Jo mu gadam: gips, paprykie, i musztarde i oleje... A un jeno szadł na fotel ny i szmieje sze i szmieje... — „Oto — mówi — pan *nic* niema, a choroba pańka cała, to jest to — co panu może, pchłe, lub ose... ukąszała!... i znów szmiał sze... (*z przekąsem*). Bo tu gadacz! Szmiercz mi szedzi na krawędzi — przód swędzało mnie na głowe, (*z przestrachem chwytając się za brzuch*). Tera... mnie... w żołądek... swędzi... (*z tryumfem*). Ale tera wiem co zrobię: zaraz biorę rzeczy i powrócę do Poznania... (*z uśmiechem przekonania*). Moje Sure mnie... wileczy!!!... (*wybiega*).

Paul de Coś.

Wyrok Salomona.

Paradną historyjkę opowiadają o jednym z naszych zięciów, który przed teściem swoim użalał się na to, że trzpiotowata żonka naszego zięcia daje mu ciągłe powody do zazdrości.

— Słuchaj, mój zięciu — rzekł nareszcie teść, zniecierpliwiony nieustającą jeremiadą — proszę cię, zapowiedz swojej żonie, że jeżeli raz jeszcze będziesz zmuszony przyjść do mnie ze skargą na nią, w tej chwili stanowczo ją wydziedziczę.



Wieczna piosnka.

Jest i będzie zawsze tak:
Dobrze wszędzie, gdzie nas brak.



Kto źle stoi, ten musi usiąść.

— Czy to prawda, panie Feindenker, że pański szwagier Schachermann siedzi w kozie?

— No, proszę pana, pan potrzebujesz wiedzieć, że on już bardzo źle stał, to on dla tego teraz siedzi.



Wytłómaczył się.

— Mój Janklu, oskarżony jesteś o rozmyślne podpalenie swego domu.

— Co pan sędzia mówi, jakie rozmyszlne, czy to od rozmiszlenia może się drzewo zapalicz? do tego trzeba ognia a nie miszlenia.



Luty na wsi.

Przyszedł luty,
W mróz okuty,
Sypnął białym śniegiem.
Lecz mróz minie,
Bo czas płynie
Niewstrzymanym biegiem.
Tak na świecie
Wciąż się plecie
W myśli niepojętej;
Równie szybko,
Moja rybko,
Rosną też procenty.
Pusto w kasie
W takim czasie,
Jak się troskom nie dać!
To co było,
Już się zbyło
I nie ma co sprzedać.
Żydek zmyka,
Ni grosika
Nie da — bo nie głupi.
Z wiosną może
Na pniu zboże
Dopiero zakupi.



Na okaz

przesyłamy bezpłatnie numera pisma naszego, jedynego dla młodzieży i dzieci w zaborze pruskim.

„Szkółka Domowa“

Poznań, Piekary 7.

Zapisaną jest na poczcie: Zweiter Nachtrag 126 a.

67



Cennik na rok 1900

bogato illustrowany 114 stron objętości, wysyłam każdemu odwrotną pocztą darmo i franko.

K. Ignatowicz,

Poznań,

1013 ulica Wrocławska Nr. 4.

Kto nabyć pragnie

Swiatło żarowe

o najwyższej sile i trwałości, niechaj spróbuje moich przenośnych znakomicie wypalonych świateł gazowych do samodzielnego zakładania.

Natychmiast do użytku! Bez poprzedniego odpalania!

Nie jest to tak zwany towar bazarowy.

Cena za 100 sztuk 25 m. Tuzin prób 4 mr. franko.

Towar opłacający się nadzwyczaj dla sprzedających z drugiej ręki. Gwarancya dla dostawy bez najmniejszego uszkodzenia. Polecam również nieodpalone światła żarowe, jako i wszystkie części przynależne do światła gazowo-żarowego po cenach najtańszych. 1078

Hurtownie. Eksportowo.

Przesyłki za poprzedniem nadesłaniem należytości lub za zaliczką pocztową.

A. Gretscher, Gasglühlicht Industrie.

Frankfurt a M., Dreieichstr. 2.

Uczeń,

syn zamiejscowych rodziców z dobrem wykształceniem szkólnem, może się zgłosić do fabryki likierów 37

P. Mikołajczyka

w Ostrowie.

5 do 10 m. dziennie.

zarobić mogą pobocznie osoby ruchliwe. 63

Adres: **„Ruch“, Berlin, 24** (postr.)

Bilety wizytowe

(100 szt. 1,50 m.)

wysyła odwrotną pocztą

Drukarnia „Pracy“

Skład

z zupełnem urządzeniem, o 2 oknach wystawnych i obszern. pomieszk. przy rynku, w któr. istnieje od dawna handel stroji i tow. krótkich, można wynająć natychm. albo od 1-go kwietnia r. b. Zgłosz. przyjm.

Domżalski 24

w Gniewie (Mewe, Westpr.).



Mydło

opuje się najkorzystniej u

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie 79

fabryka i skład przy Wawrzyńca, filia przy Farnej.

Kołdry

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko *w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder*

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.

Księgarnia

Dr. Wł. Miłkowskiego

w Krakowie

poleca dzieła naukowe pedagoga **Reussnera p. t.:**

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego a gruntownego** nauczenia się **języków obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy i z kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek“ Polsko-Niemiecki kurs wstępny **(Elementarz)** po 15, 30, 52 cent. i kurs I-y 90 cent.; kurs II-gi 2,30 zł.; komplet (oba kursy) zł. 3

„Samouczek“ Polsko-Francuzki kurs I-szy 1,80 cent., kurs II-gi 4,80 cent. Gramatyka Polsko-Francuzka 1,80 cent. 30

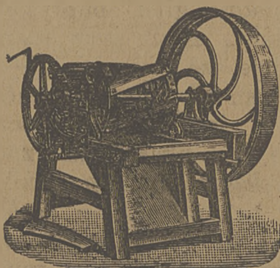
„Samouczek“ Polsko-Angielski kurs I-szy zł. 1,12, kurs II-gi zł. 1,80, komplet zł. 2,62.

Do nabycia także we wszystkich innych księgarniach. **Skład główny autora w Warszawie, ul. Złota 6.** Wysełam tylko po otrzymaniu należności z góry.

Bębenkowe

sieczkarnie

konne i ręczne



z prawnie zastrzeżonemi ulepszeniami **beznagannie chodzące i niedoścignione w swej działalności** wykonuje 998

H. Kriesel,

Tczew (Dirschau W. Pr.)

Specyalna fabryka sieczkarń.

Najlepsze referencye.

Prospekty darmo.

Korespondencya w języku niemieckim.

Sprzedaż bydła bawarskiego

bez pośrednictwa.

Tak młode bydło jako też woły robocze najlepszych i najsilniejszych bawarskich ras. 1038

Simentalskie bydło pstrokate i t. zw. żółte franki. Wiadomości udziela właściciel dóbr Fryderyk Lutz w Heidenheim, środkowa Frankonia w Bawaryi.

(Mittelfrank, Bayern.)

Do znacznego majątku, **jednego z najlepszych gospodarstw Księstwa,** potrzeba bardzo zdolnego

rządzcy

samodzielnego, kawalera lub żonatego, na znaczną stałą pensyą i wysoką tantyemę. **Tylko kandydaci ukwalifikowani na lepsze stanowisko** zechcą odwrotnie nadesłać odpisy świadectw wraz z krótkim podaniem bliższych danych do biura

Drwęski & Langner

w Poznaniu.

Gorzelnik

kawaler lub żonaty potrzebny od lipca do gorzelni ca. 1000 beczek kontingentu. Posada jest trwała, na stałą pensyą, deputat i tantyemę. **Kandydat z szkoły Dellbrücka ma pierwszeństwo.**

Drwęski & Langner

w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Potrzebny od 1. 4. r. b. pod Czempiń

ogrodnik

żonaty z pensyą 90 mk. rocznie, 80 funt. pszenicy, 13 ctr. żyta, 400 funt. jęczmienia, 450 funt. grochu, 75 ctr. kartofli, 4 sążnie drzewa gał. lub torfu, 30 kw. prętów ziemi ogrodowej, 30 kw. prętów ziemi na jarzyny, wolne pomieszkanie, doktor i apteka. Takowy musi mieć 1 zaciężnika, który dostanie 40 fenygów zimą, 50 fen. latem. Jeżeli ogrodnik pozost. dłużej, dostanie za zaciężn. 15 mk. wynagrodzenia i oprócz tego 3 m. za zaciężnika, a 5 mk. za siebie, za marki od kalectwa i kasy chorych zwrócone i wolne utrzymanie dla 1 krowy zimą i latem.

Kontrakt jest do przejrzenia w

Centralnem Biurze Zleceń,

Poznań, Rycerska 38.

Ekonom

kawaler z pensyą 650 mk. i wierzchowca oraz z wolnem utrzymaniem i t. d. potrzebny od 1. 4. lub 1. 7. r. b. do do znacznego majątku pod dyspozycyą pryncypała.

Centralne Biuro Zleceń

w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Stangret,

kawaler, umiejący **dobrze** wierzchem jeździć i powozić, kawalerzysta, potrzebny jako drugi stangret do 47

Dom. Samostrzel

od 1. 4. 1900.

Do znacznych dóbr potrzebny od 1 kwietnia lub lipca r. b. zdolny

agronom

żonaty lub kawaler na znaczną stałą pensyą i wysoką tantyemę. Stanowisko jest trwałe i donośne, gospodarstwo renomowane. **Tylko kandydaci oparci na długoletnie świadectwa z wzorowych gospodarstw** zechcą osobiście się zgłosić lub też spiesznie nadesłać odpisy świadectw z podaniem bliższych personalii

Drwęski & Langner

w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

(W niedzielę i święta biura nasze otwarte tylko przed południem od godziny 11½—1.)

Kowala

żonatego na ordynaryą z dobremi rekomendacyami, znającego się także na montowaniu i prowadzeniu maszyn rolniczych potrzebuje od 1-go kwietnia r. b. **Dom. Niegolewo** p. Bukiem. 60

Domin. Zacharzew

pod Ostrowem

poszukuje od zaraz 41

niani

do małego dziecka, osoby w sile wieku, mogą się zgłosić piśmiennie, dołączając kopie świadectw.

Młody człowiek

biegły w korespondencyi w obu językach potrzebny od zaraz jako gr.

zarządzca interesu

z pensyą 100 do 150 marek miesięcznie. Agronom biegły w piórze ma pierszeństwo.— Oferty do Eksp. „Pracy“ pod lit. D. L.

Prymaner wyższy

poszukuje odpowiedniego do swych wiadomości zajęcia, najchętniej pragnie od zaraz do Wielkanocy udzielać korepetycyi chłopcom mającym wstąpić do kwarty gimnazyalnej. Oferty uprasza się przesłać do eksped. „Pracy“ pod lit. **C. K. 20.**

2 uczni

do handlu kolonialnego i do handlu żelaza poszukuje 61

K. Kubicki, Środa.

Ucznia

przyjmie każdego czasu 58

J. Szczepański,

Strzelno.

Handel sprzętów domowych i kuchennych, lamp, porcelany, szkła, tow. żelaznych etc.

Zdatnego 35

borowego

poszukuje od 1. 4. 1900. Zgłoszenia wraz z świadectwami nadesłać pod lit. **M. B.** poste restante **Pienschkowo.**

Dla chorych na żołądek.

Wszystkim, którzy czy to przez zaziębienie, czy przeładowanie żołądka, przez używanie niestrawnych, zbyt gorących lub zbyt zimnych pokarmów albo też przez nieregularny tryb życia nabyli chorobę żołądka, jako to:

katar żołądkowy, kurcz żołądkowy, boleści żołądka, cięż[illegible]ie trawienie lub zaflegmienie żołądka,

poleca się niniejszem dobry środek domowy, którego znakomite, zdrowotne działanie już od lat są wypróbowane. Jestto znany

środek trawienia i czyszczenia krwi

Hubert'a Ullricha Wino zielne.

Wino to jest przyrządzone ze znakomitych i uznanych zdrowotnych ziół i z dobrego czystego wina, i wzmacnia i ożywia cały organizm trawienia człowieka, nie będąc środkiem rozwalniającym. Wino zielne usuwa wszelkie dolegliwości w naczyniach krwistych, oczyszcza krew ze wszystkich zepsutych i szkodliwych substancyi i działa dodatnio na tworzenie się zdrowej krwi.

Przez wczesne używanie wina zielnego usuwa się choroby żołądkowe, najczęściej już w zarodku. Z tego powodu powinien każdy używać wina zielnego, zamiast tych wszystkich ostrych, drażniących i zdrowie rujnujących środków. Wszystkie oznaki, jak: **ból głowy, odbijanie, zgaga, wzdęcia, mdłości z womitami,** które przy **chronicznych** (zastarzałych) **chorobach żołądkowych** o tyle gwałtowniej występują, znikają po części po kilkorazowem piciu.

Zatwardzenie i nieprzyjemne skutki tego, jak **ściśnienie, żganie w boku, bicie serca, bezsenność,** jako też osadzenie się krwi w wątrobie i mleczu oraz **cierpienia hemoroidalne** usuwa wino zielne szybko i **łagodnie.** Wino zielne **znosi** każdą **niestrawność,** udziela organom trawiącym pomoc i odwodzi przez lekki stolec wszelkie niepotrzebne substancye ze żołądka i kiszek.

Mizerna bladość, niedokrwistość, osłabienie są po części skutki złego trawienia, niedostatecznego tworzenia się krwi i chorobliwego stanu wątroby. Przy zupełnem **braku apetytu, z rozstrojonemi nerwami i bez humoru** oraz częstym **bólu głowy i bezsennych nocach,** marnieją zwolna tacy chorzy. Wino zielne daje osłabionej sile życia nowy impuls. Wino zielne podnosi apetyt, ułatwia trawienie i wyżywienie, przyspiesza i ulepsza tworzenie się krwi, uspokaja rozdrażnione nerwy i tworzy choremu nowe **siły i nowe życie.**

Liczne uznania i pisma dziękczynne są tegoż dowodem.

Wino zielne jest do nabycia w butelkach po M. 1,25 i 1,75 w Poznaniu: w „Nadwornej Aptece", „Aptece pod Eskulapem", „Czerwonej Aptece", aptece Jagielskiego, aptece Głabisza, oraz w aptekach: w Swarzędzu, Stęszewie, Mosinie, Kórniku, Środzie, Czerniejewie, Pobiedziskach, Murow. Goślinie, Obornikach, Szamotułach, Pniewach, Lwówku, Opalenicy, Grodzisku, Rakoniewicach, Wolsztynie, Czempiniu, Kościanie, Śmiglu, Śremie, Książu, Nowemmieście n. W., Żerkowie, Miłosławiu, Wrześni, Witkowie, Trzemesznie, Kostrzynie, Gnieźnie, Wągrówcu, Kłecku, Rogoźnie, Obrzycku, Wronkach, Sierakowie, Międzychodzie, Pszczewie, Trzcielu, Nowym Tomyślu, Zbąszyniu, Lesznie i t. d., jako też w Aptekach wszystkich większych i mniejszych miast W. Księstwa Poznańskiego i sąsiednich prowincyi.

Firma: **„Hubert Ullrich w Lipsku, Weststr. 82"** wysyła także po **3** i więcej butelek po cenach oryginalnych do wszystkich miejscowości w Niemczech franko w bezpłatnym opakowaniu.

Ostrzega się przed naśladownictwem!

Proszę wyraźnie żądać **Hubert'a Ulrich'a** **wino zielne.**

Moje wino zielne nie jest żadnym tajnym środkiem; tegoż części składowe są: Malaga 450,0, winny spryt 100,0, glyceryna 100,0, czerwone wino 240,0, sok jarzębowy 150,0, sok wiśniowy 320,0, kopr włoski, anyż, ameryk. kor[illegible] siły, korzeń goryczki, korzeń tatark. po 10,0.

Z powodu śmierci

ś. p. mego męża zamierzam mój od kilku lat w Kruszwicy w rynku istniejący 9

handel szkła i porcelany

artykułów drobnych żelaznych, blaszanych

i t. p. pod korzystnemi warunkami **sprzedać.** Ponieważ to jedyny podobny handel na Kruszwicę nastręcza się dla młodego rutynowanego kupca dobra sposobność do zdobycia sobie pewnej egzystencyi tem więcej, że dział szkła rozszerzyć i szklarnię na większe rozmiary urządzić można. Zgłoszenia proszę adresować wprost do mnie.

Z szacunkiem

Anna Kozłowska.

Kruszwica, Cukrownia, w Styczniu 1900.

Podciągi (tragarze) filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowii

poleca 72

w wielkim wyborze i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski

Poznań, Szewska ul. 17.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. OSSOWSKI

Międzynarodowe Biuro Patentowe w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Władysław Durzyński

dekorator kościołów

Poznań, ul. Zielona 3.

Przewielebnemu Duchowieństwu i Szanownym Dozorom kościelnym polecam się do malowania kościołów i kaplic

Pozłacam ołtarze, ambony, chrzcielnice, ołtarzyki do noszenia i t. d. 1051

Odnawiam obrazy, figury i wszelkie rzeźby.

Dostarczam figury z masy i z drzewa, w każdej wielkości, artystycznie wykonane.

Prace mi powierzone wykonuję gustownie i rzetelnie przy cenach nizkich, o czem świadczą świadectwa z prac mych wykonanych, które na życzenie przesyłam bezpłatnie.

Castoral

Dr. Bredow w Wągrówcu.

Najlepszy środek na wszelkie boleści żołądka i wnętrzności, a najskuteczniejszy przy boleściach macicy i ogólnem osłabieniu u kobiet. Butelki po 1 marce i po 50 fen. Składniki: Tinct. cast. comp. 70

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe biuro patentowe techniczne

J. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.

Fryderykowska 78.

(Właśc. firmy: A. Mühle i W. Ziołecki.)

Tylko kapsułki Sanidowe

(10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Zadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057

Skład główny: **L. Hofmann,** apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

R. Tilgner, Pleszew.



Bardzo głośny fonograf, nowość, tylko 22,50 mk., gra, śpiewa, płacze i t. d., stosowny podarek dla każdego stanu. Prospekty gratis.

Spółka Stolarska

sądownie zapisana 204

Poznań, Grobla Nr. 4

poleca swój wielki i bogato zaopatrzony

skład mebli

Eksport. Eksport.

hurtownie! detalicznie!

Najtańsze źródło zakupna dla handlarzy mebli.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i wraz z dołączeniem **67 fen.** posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für Monate Februar u. März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 86 der Zeitungspreisliste)

für 67 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 67 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., *den* ....

Kaiserl. Post ....